Nr. 3. Warszawa, dnia 16 (4) Stycznia 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Autorowie rękopisów nieprzyjętych przez naszą redakcyę a zachowanych do zwrotu, zechcą je odebrać w ciągu dwu miesięcy, gdyż po tym terminie będą zniszczone

POLITYKA.

O EGIPSKĄ SKÓRĘ.

Pomału wyczerpują się w Europie przedmioty spornych zabiegów i walk, zmniejszają się terytorya, będące celem wielostronnych pożądań. Żadne mocarstwo nie myśli np. o zdobyciu Anglii, Szwajcaryi, Włoch lub Niemiec, a te mniejsze przestrzenie, na których dotąd krzyżują się interesy, w porównaniu z obszarami, na których panował lub o których marzył Karol W. lub Napoleon I, są drobnymi ułamkami. Natomiast chęć zaborów przeniosła się z całą energią do innych części świata. Azya, Australia, Ameryka, przedewszystkiem zaś Afryka jest obecnie polem cichych a wytężonych zapasów między państwami europejskiemi. Najsmaczniejszym niewątpliwie kęsem „czarnego lądu" jest Egipt. Całe stulecie bieżące zasnute jest historyą pokuszeń o zawładnięcie tym krajem, który zwłaszcza po przekopaniu kanału Suezkiego zyskał szczególną wartość. Ścierają się o przywłaszczenie sobie tego łupu głównie dwie potęgi, Francya i Anglia. Dla pierwszej posiada on wysoką cenę, dla drugiej — stanowi poniekąd warunek istnienia w obecnej mocy. Pomyślmy bowiem, jak straszne dreszcze przebiegłyby po ciele Anglii, gdyby ona pewnego dnia utraciła swoje strażnicze posterunki nad drogą morską do Indyj wschodnich, gdyby szlak łączący Europę z Azyą przeszedł w posiadanie jej współzawodników! Zarówno z interesu, jak z niemożności pokonania przeciwnika Francya nie myśli o wyłącznem zapanowaniu nad Egiptem i poddaniu go swoim jedynie wpływom lub rządom; czuje wszakże, że ma dość sił na to, ażeby upomnieć się o dobrą część w podziale. Ostatecznie prędzej czy później John Bull będzie musiał się na to zgodzić.

Przypuszczano nawet, że zgodzi się już teraz. Niespodziewanie zmarł w sile wieku kedyw Tewfik basza, który był przyjacielem lub narzędziem Anglii. Od czasu rządów Izmaiła następstwo tronu w Egipcie zostało uregulowane (1866) według prawideł europejskich, tj. najstarszy syn dziedziczy koronę po ojcu, nie zaś, jak przedtem, brat panującego lub najstarszy w rodzie. Pomimo wszakże ustalenia tej zmiany, sułtan mógł znaleźć powód do przywrócenia dawnego zwyczaju. Syn Tewfika, 18-letni Abbas, kształcący się w Wiedniu, uchodzi za zwolennika francuzów. Abdul Hamid widocznie, ażeby zapobiedz wybuchowi walczących z sobą uroszczeń i wytworzyć przeciwwagę dla wpływu angielskiego, z niezwykłą w działaniach Porty szybkością przeniósł godność wicekróla na młodego księcia i polecił mu natychmiast udać się do kraju. Otóż mniemano, że tę sposobność wyzyska on dla wymuszenia ustępstw na Anglii, która siedzi i gospodaruje w Egipcie prawem kaduka. Nawet bowiem konwencya, zawarta z padyszachem w r. 1887, pozwalała jej wojskom pozostać tam tylko przez lat trzy, jeżeli nie zajdą nieprzewidziane wypadki. Trzy lata upłynęły już dawno, następnie zdarzały się rozmaite „wypadki nieprzewidziane," ale żaden z nich nie dowodził potrzeby dłuższego zatrzymania wojsk angielskich. Nie zostały one jednak odwołane dotychczas, chociaż Porta wielokrotnie upominała się o to, popierana w swem żądaniu przez mocarstwa europejskie, a głównie przez Francyę. Lord Salisbury zawsze upewniał, że „gotów jest do podjęcia układów," ale je odwlekał, zwracając przytem uwagę, że stan Egiptu nie przestaje „budzić poważnych obaw." Naturalnie dyplomacya angielska musi malować dyabła na ścianie i powtarzać ten protest do skończenia świata, bo nigdy nie zbraknie jej dowodów, usprawiedliwiających „obawy"; na drodze więc dyalektyki i dowodzeń prawnych pokonać się ona nie da. Jeżeli ustąpi, to tylko przed siłą.

O jakiej sile może tu być mowa? Tylko o tej, którą wytworzy nowy kedyw. Ani Francya, ani żadne inne państwo, ani połączone z sobą nie wystąpią zbrojnie w obecnych warunkach politycznych dla wypędzenia anglików z Egiptu. Tego oni się nie lękają, ale lękają się, ażeby na miejscu nie powstała przeciw nim potężna partya, ażeby nie wzburzyły się żywioły tuziemcze, które, wsparte opieką jakiegoś mocarstwa lub mocarstw, zmusiłyby Anglię albo do ubezpieczenia swego stanowiska znaczną ilością wojska, której ona nie posiada, albo też do wycofania się z gry hazardowej. Otóż sprowadzenie takiego lub innego wypadku zależy w przeważnej mierze od nowego kedywa. Czy on skłoni ucho ku jednej stronie i ulegnie funtom szterlingom, czy też skłoni je ku drugiej i da się skusić frankom, od tego zawisła przyszłość Egiptu.

A przyszłość ta nie zamyka się w jego jedynie losach. Gdyby chodziło tylko o to, kto będzie panem obszarów nad Nilem, możnaby na wynik współzawodnictwa patrzeć daleko obojętniej, niż pamiętając, że Egipt jest pierwszorzędną pozycyą polityki wszechświatowej, wrotami do Azyi, do olbrzymiej przestrzeni globu ziemskiego, która dotychczas nie ma uporządkowanych i utrwalonych stosunków zwierzchniczych. W tej chwili też, gdy młody Abbas zasiadł na tronie, toczy się niewidzialna dla niewtajemniczonych, ale zajadła walka wpływów, do której użyte są wszystkie oręże intrygi, począwszy od namów i podstępów, a skończywszy na złocie. Dopiero kiedyś dowiemy się, czyja sztuka i kieszeń zwyciężyły, dopiero po wielu latach ukażą się na czołach dyplomatów tryumfujących zasłużone wawrzyny. Dziś musimy zadowolić się czytaniem „komunikatów," artykułów „natchnionych," grzecznych, gładkich, obłudnych, które nie ukazują ani wyszczerzonych

zębów, ani wysuniętych pazurów. Gdyby zawierzyć tym słodkokwaśnym gałeczkom, możnaby mniemać, że sprawa egipska załatwia się i załatwi drogą „serdecznego porozumienia" przy wzajemnem podawaniu sobie cukierków. Tymczasem w rzeczywistości o tę egipską skórę toczy się bój, przerywany tylko targami, po których strony sporne chwytają znowu za broń intrygi politycznej.

Z AUSTRYI.

Nominacya dr. Leona Bilińskiego na prezydenta kolei państwowych. — Smolka. — Przemowa cesarza przy rozwiązaniu parlamentu węgierskiego.

Zaraz po nominacyi nowego ministra bez teki, który reprezentować ma lewicę w gabinecie, rozeszła się wieść, że prawica otrzyma pewne wynagrodzenie za ustępstwo, uczynione niemcom. Pretensye, jakie klub Hohenwarta rościł sobie z tego tytułu, nie znalazły uwzględnienia; natomiast Galicya otrzymała dar za stratę, poniesioną wskutek niedopuszczonej przez rząd decentralizacyi kolei państwowych. Mianowicie dotychczasowy ich prezydent, baron Czedik, złożył ten urząd, a miejsce jego zajął jeden z najwybitniejszych członków Koła, Biliński. Wybór ten nie zdziwił nikogo, a nawet niemcom nie dał sposobności do uszczypliwych uwag, gdyż Biliński ceniony był oddawna w parlamencie jako znakomity znawca spraw kolejowych. Jeszcze w r. 1875 młody, trzydziestoletni zaledwie profesor lwowski, wygłosił na kongresie ekonomicznym w Wiedniu rzecz o taryfach, w której występuje jako gorliwy obrońca systemu kolei państwowych. Wówczas, kiedy upaństwowienie wydawało się jeszcze marzeniem, proponował ciągłą walkę z drogami prywatnemi. Organem rządu w tej walce miała być osobna władza centralna, połączona z ciałem doradczem, złożonem z wybitnych producentów. Myślał więc Biliński wówczas już o instytucyi podobnej do dzisiejszej rady kolei państwowych. W tym samym referacie żądał zasadniczej reformy taryf, które, zdaniem jego, winny być jednolite dla całego państwa. Nie jest to bynajmniej grą przypadku, że człowiek, który w młodości teoretycznie zajmował się sprawami kolejowemi, w dojrzałym wieku stanął u ich steru. W Austryi niewiele mamy przykładów tego systematycznego dążenia do pewnych w państwie stanowisk; jest ona przyzwyczajona do nominacyi ministrów skarbu, którzy pracowali w dziale sprawiedliwości lub do dyrektorów teatru, którzy zajmowali się prawem rzymskiem. Biliński zaś, zwłaszcza odkąd został członkiem parlamentu (tj. od r. 1883), zajmował się głównie kwestyami kolejowemi i finansowemi; był reprezentantem w sprawie upaństwowionej niedawno drogi Karola Ludwika, a w Kole sformułował życzenie przedstawicieli Galicyi co do decentralizacyi kolei państwowych. Że zaś przedewszystkiem jest praktycznym mężem stanu, przeto sam nakłonił potem Koło, aby zgodziło się na wolę rządu; dziś zaś poruczono mu wykonanie rozporządzenia o organizacyi kolei państwowych. Stanowisko to jest wybitnie polityczne; nie zapoznawał tego hr. Taaffe, owszem, z tego właśnie powodu zaofiarował je Bilińskiemu, który, jak swego czasu donosiliśmy czytelnikom *Prawdy*, upatrzony był na ministra komunikacyi.

Pewne odłamy parlamentarne, niezadowolone z tego zwycięztwa galicyan i z zawodu własnych nadziei, rozpuściły wieść, że prezydent Smolka, znużony długoletnią pracą, zamyśla złożyć swą godność, którą objąć ma Chlumecki. Wiadomość ta pojawiła się równocześnie w kilkunastu pismach a tak zręcznie puszczono ją w obieg, że nawet członkowie Koła uwierzyli jej i w dobrej wierze ją rozpowszechnili. Okazało się jednak niebawem, że była to próba wywarcia nacisku na sędziwego męża stanu, który najlepszem cieszy się zdrowiem i niestrudzony pełni swe obowiązki. Na szczęście udało się przyjaciołom Smolki wyjaśnić mu prawdziwy stan rzeczy i odwieść go od zamiaru ustąpienia.

Mowa, którą cesarz wygłosił przy rozwiązaniu parlamentu węgierskiego, wpłynęła bardzo na uspokojenie umysłów, kłopoczących się obawami wojennemi. Franciszek Józef upatruje rękojmię pokoju w przyjaznych stosunkach z wszystkiemi bez wyjątku mocarstwami, oraz w traktatach handlowych. Unikał on przytem widocznie kwestyj politycznych, akcentując głównie ekonomiczne. Porównywając tę mowę, wygłoszoną po pięcioletniej przeszło działalności rozwiązanego właśnie parlamentu węgierskiego, z programem zawartym w przemowie cesarskiej przy otwarciu ubiegłej kadencyi, drobną część tylko zadań zakreślonych wówczas widzimy urzeczywistnioną. Dokonano ugody z Kroacyą i przeprowadzono ustawę wojskową, której ofiarą padł Koloman Tisza; lecz reformy ustawy karnej i prawa prywatnego, jurysdykcyi administracyjnej oraz samejże administracyi dotąd czekają załatwienia i przekazane będą przyszłemu parlamentowi. Takim to powolnym krokiem wlecze się praca sejmowa, która dla najenergiczniejszego nawet rządu staje się kulą u nogi wobec opozycyi. Czy uda się przy nowych wyborach wykluczyć żywioły burzliwe i zastąpić je bardziej umiarkowanymi, o tem wątpi cała prasa węgierska, a z nią podobno i sam rząd. Wiadomo powszechnie, że polityka jest grą; kto zaś jej bliżej się przypatrzył, wie, że jest to gra hazardowna.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obok sprawy egipskiej stanęła groźnie marokańska. Również i ta nie schodzi właściwie nigdy z porządku dziennego, tylko od czasu do czasu zanurza się w głąb tajemnic i znowu wypływa na wierzch. Jak już nieraz, tak i obecnie powód do wybuchu dały zatargi wielkorządców sułtana z ludnością okoliczną, zwłaszcza przy ściąganiu podatków. Gubernator Tangeru łupiestwem i okrucieństwem wzburzył kabylów, którzy powstali zbrojnie i rozniecając coraz szerzej pożar buntu, ogarnęli nim już kilka prowincyj. Twierdzą oni, że chcą tem wystąpieniem zmusić przedstawicieli mocarstw europejskich do wyjaśnienia sułtanowi stosunków a pośrednio ich krzywd. Ponieważ gubernator nie miał dość wojska dla oparcia się powstańcom, więc zażądał posiłków od padyszacha, który mu je wysłał. Na wieść o tej wojnie wewnętrznej państwa zainteresowano kazały popłynąć swoim pancernikom. Rozumie się pierwsza stanęła na miejscu Anglia, za nią Francya, a następnie Hiszpania. Chociaż Maroko jest rozdzierane przez trzy strony, gło-

---

2)

KNUT HAMSUN.

HAZARD.

Była godzina dziewiąta. W towarzystwie Ilicza siedziałem na werandzie hotelowej, paląc papierosy. Nagle z dołu lokaj zwiastuje nam, że jaśnie pani ze Sinvara w tej chwili właśnie posłała po syna swego. Chciałem mu właśnie odpowiedzieć, że chętnie dam mu parę ocrów za tę nader ważną wiadomość, chciałem pobawić się jego kosztem, pokpić sobie z tych jego niewczesnych nowin, które nikogo nie nie obchodziły. Lecz Ilicz był zaciekawiony.

— Baczność! — zawołał. Uważajmy, co się stanie! W nocy posyła po Pava!

Siedzieliśmy przez jakiś czas, paląc w milczeniu. Wtem Pavo nadchodzi, matka spotyka go już na schodach.

— Słuchaj! — mówi — na werandzie słychać każde słowo; słuchaj Pavo, w tej obrzydliwej rulecie przegrałam dziewięć tysięcy leiów! Leżałam już, ale spać nie mogę; pieniądze te są dla mnie męką; tę właśnie sumę przeznaczyłam na kościół, muszę ją odegrać; bez niej żyć nie mogę! Wracam do sali gry.

Pavo słucha — oniemiał. Nawet on, stary praktyk, nie może ochłonąć ze zdumienia. Nie odpawiada ani słowem.

— Więc czegoż stoisz? Gra nie kończy się przed północą: mamy jeszcze dwie całe godziny, nie traćmy czasu.

I idą.

Gra kipi teraz silniej jeszcze, aniżeli w dzień; ku północy ryzykują zwykle większe sumy, niż z początkiem wieczoru. Książę siedzi wciąż na dawnem miejscu, spokojny, ponury stawia stosy pieniędzy i wygrywa. Jego stawki, obecnie na stole leżące, wynoszą może około sześćdziesięciu tysięcy leiów. Stawia na trzy liczby jednocześnie, prowadzi grę z nadzwyczajnym spokojem, pieniądze składa w rulony, lecz ich nie liczy. Nic mu nie przeszkadza, nie zawadza mu nawet blady, rozszalały rumun, który po wygranej, ciągnącej się ze trzy kwadranse, teraz znowu zaczynał przegrywać. I rumun składa pieniądze w rulony, chciałby je jednakże przeliczyć: ręce mu drżą, pieniądze mieszają się. Operuje na między-liczbach: dwanaście—trzynaście i sześć—siedem, uparcie cyfr się tych trzyma, trzyma się ich niby dziecko krnąbrne, które za nic nie ustąpi. Poświęciłby prędzej życie, aniżeli te dwie cyfry.

Książę, usłyszawszy szelest sukni jaśnie pani, podnosi się i ruchem pełnym galanteryi krzesła jej ustępuje. Pani dziękuje mu spojrzeniem, którego on nawet nie spostrzega; zimny, ponury śledzi za postępem gry, stawia i zgarnia pieniądze, nie myląc się ani razu. Wśród graczy książę zdaje się cieszyć nadzwyczajnym szacunkiem.

— Pavo — rzeknie jaśnie pani — graj, jak chcesz. Zdaje mi się, że najwięcej masz szczęścia w czerwonem, stawiaj więc na czerwone!

Pavo zwraca się do swego sąsiada, starego żołnierza z Kaukazu i dowiaduje się, że czerwone wygrywało siedem razy, raz po razie. Stawia więc na czerwone.

— Parzyste — dwadzieścia cztery — siedemnaście i trzydzieści cztery — czerwone! — woła bankier, zgarniając pieniądze.

— Czerwone! — powtarza jaśnie pani. Źle zaczynasz, Pavo. Dlaczegóż nie stawiasz na czerwone, skoro to twoja barwa? Wiele przegrałeś?.. Dobrze, postaw dwadzieścia leiów na czerwone!

Ale czerwone tym razem przegrywa.

Wreszcie po ośmiu obiegach wygrywa czarne i trzynastka, liczba rumuna. Rumun, brakiem szczęścia do wściekłości doprowadzony, rzucił w końcu wielką sumę na swoją liczbę. Tak się zaciął w uporze, że w danej chwili było mu obojętne, czy wygra, czy przegra. Kiedy jednak koło stanęło, a kula zatrzymała się na jego liczbie, przywołał jednego z lokajów i bez słowa dał mu papierek dziesięcioleiowy. Może sam nie wiedział, co czyni; mechanicznie, drżącą ręką przygotowywał świeżą stawkę.

— Pavo! — mówi jaśnie pani — znowu przegrałeś. Nie masz szczęścia. Pozwalam

wnie jednak stoją przeciw sobie Anglia i Francya. Ale ta ostatnia widocznie postanowiła bronić praw swoich energicznie. „Na ten zamach — grozi *Siècle*, informowany przez ministeryum spraw zagranicznych — nie pozwolimy nigdy. Gwałt, dokonany przez Anglię w Egipcie, zniszczył naszo wpływy na Wschodzie i naruszył równowagę na morzu Śródziemnem z naszą stratą. Zamach jej na Maroko byłby krokiem wojennym przeciw naszemu Algierowi i przeciw wszystkim naszym posiadłościom w Afryce. Musimy działać szybko i energicznie, musimy natychmiast wysłać naszą flotę śródziemnomorską do Tangeru, a w Londynie oznajmić, że Francya jeszcze istnieje i nie pozwoli Anglii ani się oszukać, ani ośmieszyć."

Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, Stablewski, złożył przysięgę przed cesarzem, który, odpowiadając na jego przemowę, wyraził nadzieję, że nowy pasterz doprowadzi swą owczarnię do zgody i pielęgnować w niej będzie wierność dla monarchy i poszanowanie praw. *Hamb. Nachrichten*, organ Bismarka, potępiają biesiady dworskie i ministeryalne, urządzane na cześć nowego arcybiskupa, dodając: jeśli rząd tak daleco zmienił „dawny kurs polityczny," którym ks. Bismark zapewniał Niemcom szereg wiekopomnych zwycięztw moralnych, iż nie waha się dziś usunąć tamy rozwojowi narodowości, niczem dotąd dla Prus nieprzejednanej, to obawiać się należy, aby cały plon długoletnich trudów b. kanclerza nie zmarnował się, zanim jedno pokolenie zejdzie ze świata. Zauważyć należy, że *Hamb. Nachrichten* nie z tego jedynie powodu, lecz z tysiąca innych przepowiadają niechybną zgubę Niemcom, które — naturalnie — mógłby uratować tylko Bismark.

Wielkie wrażenie uczyniła w prasie niemieckiej wiadomość, że rząd wytoczył proces dyscyplinarny jednemu z wybitnych konserwatystów, hr. Limburg-Stirum, za artykuł pomieszczony w *Kreuzzeitung* przeciw traktatom handlowym. Dla zrozumienia tej sprawy należy wiedzieć, że w Niemczech każdy urzędnik, czynny lub tylko zaliczony do ministeryum spraw zagranicznych, nie może nic drukować bez pozwolenia swej władzy. Zakaz ten rozciąga się nawet na poetów, dramaturgów itd. Otóż Limburg-Stirum, jako urzędnik pozostawiony „zur Disposition," pominął ten obowiązek, za co stanie przed sądem. Niezadowolona z tego procesu jest nadewszystko prasa konserwatywna, która dowodzi, że rząd formalnie ma za sobą słuszność, ale przedmiotowo nie posiada jej; chociaż i dzienniki liberalne nie pochwalają tej surowości.

Sejm niemiecki podjął swoje przerwane obrady, Izba francuska również przystąpiła do roboty, obrawszy swoim prezesem ponownie Floqueta, a także skupczyna serbska, pod przewodnictwem Kosticza. Skutkiem tego polityka znowu się ożywi i zyska materyał, którego ją pora świąteczna pozbawiła.

Ambasadorem angielskim w Konstantynopolu mianowany został F. C. Ford.

Umarł książę Clarence, syn angielskiego następcy tronu.

BADANIA NAUKOWE.

ORGANICZNE PODSTAWY PESYMIZMU.

Znany czytelnikom polskim psycholog wieku dziecięcego, Bernard Perez, ogłosił w styczniowym zeszycie *Revue Philosophique* pracę, poświęconą zbadaniu tych stanów fizyologicznych i emocyonalnych, w których występuje pesymistyczne zapatrywanie na świat. Właściwie jest to sprawozdanie a zarazem krytyka dwu poważniejszych dzieł, poruszających temat pesymizmu, jednego w języku portugalskim przez Magalhacsa, drugiego we francuskim przez dr. Huyghe *). Wielu badaczów, mówiąc o nastroju oraz o poglądach natury pesymistycznej, zjawisko to rozpatruje jako fakt nawskróś zdrowotny lub raczej, jeśli chcemy być ściśli, jako stan duchowy, idący w parze ze zdrowotnością organizmu i jego czynności. Jednak zdanie to coraz bardziej traci wyznawców i ustępuje miejsca innemu, zgoła odmiennemu. Nawet w obozie psychologów, systematycznie obniżających znaczenie faktów fizyologicznych jako podścieliska objawów duchowych, nawet wśród nich zyskuje coraz liczniejszych sprzymierzeńców pogląd, że pesymistyczne stany i idee są wskazówką pewnego niezdrowia organizmu. Wspomniane dwie prace usiłują właśnie dowieść takiej zależności pomiędzy chorobliwością ustroju a filozofią pesymistyczną.

Magalhaes przedewszystkiem poddaje rozbiorowi życie, charakter i przyzwyczajenia znanych pesymistów, jak Leopardi, Schopenhauer, Beaudelaire, Amiel i in., a jednocześnie oświetla ich postępowanie za pomocą przypadków, badanych przezeń w postępowaniu i umysłowości kilku prywatnych melancholików. Wszędzie znajduje on u tych filozofów i artystów pesymizmu dziedziczność patologiczną, różne oznaki zwyrodnienia, hyperestezyę, hyperalgię, obecność popędów i impulsów niepowściągnionych. Rozpatrzenie tych różnych oznak w zestawieniu ze stanem fizycznym prywatnych a nieznanych naszemu światu pesymistów doprowadza owego autora do wniosku, iż pesymizm jest pewnego rodzaju nerwicą, której główną i charakterystyczną właściwością jest niestateczność nerwowa z nagłemi przejściami od popędliwości gniewliwej do słabości zupełnej i zniechęcenia. Jednostka, w ten sposób chora, odznacza się niezmierną wrażliwością na wszelkie wpływy zarówno natury osobistoczuciowej, jak społecznej. Pesymista odczuwa silnie różne wrażenia, lecz one wyczerpują niezmiernie organizm i wywołują znużenie. Zresztą nie należy mniemać, aby tego rodzaju neurastenik był wrażliwy jedynie na bodźce nieprzyjemne. Przeciwnie, może on odczuwać podobnie silnie wrażenia przyjemne, bardziej, niż osoby normalne i zdrowe. To też pesymizm organiczne jest nader zbliżony do niektórych chorobliwych optymizmów, z nienormalnie mocnem odczuwaniem radości i zadowolenia. Rousseau jest okazem takiej neurastenii, stany optymistyczne wciąż u niego przeplatane bywały przygnębieniem najczarniejszego zwątpienia. Z tej hyperestezyi, z tej nieproporcyonalności pomiędzy podnietą a odpowiedzią na nią organizmu pochodzi rozdźwięk duchowy pesymistów pomiędzy uczuciowością, ideami a wolą. Nadwrażliwość czyni ich nader czułymi na przyjaźń, miłość, pogardę, wszelkie niepowodzenie osobiste. Niemoc organizmu napawa ich wstrętem i niechęcią, skoro cho-

*) Magalhaes, *O pessimismo no ponto da vista da psychologia morbida*. Lizbona. — Huyghe, *Des rapports de l'arthritisme avec les manifestations nerveuses*. Paryż.

---

ci tracić moje pieniądze, poświęcam je dla ciebie: chcę cię wyleczyć, zbudzić w tobie odrazę dla tej ohydnej gry, która przez lat tyle brzydkiem piętnem znaczyła twoje życie! Rozumiesz mnie, Pavo?

Pavo pojmuje ją doskonale. Wie już, że poczciwa matka sama potędze gry uległa, że, nawet przegrywając, odczuwa jakąś rytmiczną rozkosz. Przechodzi już wszystkie męki gracza, przy dzikich rzutach krew jej się ścina w żyłach, słyszy własne tchnienia; jest pastwą szału wrażeń, kipiących w jej duszy. A ilekroć przegra, rzuca się na nowo ze stłumionym okrzykiem w orgię fatalizmu. Świadomie puszcza się na śliską drogę, świadomie pada, pada z uczuciem rozkoszy. Wszystko to Pavo wie doskonale.

Nagle czoło jego pokrywa się zadumą; jest jakby nieprzytomny; bankier chwyta go kilkakrotnie na pomyłkach, nie pojmując, co się stało z tym graczem wytrawnym. Ja sam dziwię się, widząc, jak raz po razie cofa stawkę, niby w nagłym przystępie rozwagi i w obawie nieszczęścia. Cóż mu się stało?

Ilicz prowadzi mnie ku kanapie, na drugi koniec sali i zaczyna mówić o Pavie...

— Czy nie zauważyłeś pan, że nagle sposób gry zmienił? O, Pavo jest mądry, wie wszystko.

Ilicz wskazuje na matkę i syna, mówiąc:

— Z tych dwojga dziś syn jest rozsądniejszy. Pavo spostrzegł się, że namiętność gry opanowała matkę i chce ją powstrzymać; to śmieszne, nawet bardzo śmieszne! Ale Pavo działa na seryo! Czy to nie doskonałe, co? Gracz z przekonania i urodzenia, pragnie matkę uratować od zguby na polu gry! Nie może mu być obojętnem, czy matka traci majątek lub nie i wolałby ją widzieć nieżywą, niż zrujnowaną.

Siedzimy obaj na sofie. Przy rulecie odbywa się scena niezwykła; wszyscy otaczają jaśnie panią i jej syna. Farao znowu przerwany; nawet trzej wieśniacy, górale w wielkich, niebieskich płaszczach i pasach skórzanych, nawet starzy kramarze, którzy pode drzwiami hotelu na własną rękę, prywatnie o dzban wina grywali, podnieśli się ze swoich miejsc i zbliżyli się do rulety. I my się zbliżamy.

— Uważaj pan! — mówi Ilicz.

Był bardzo wzburzony.

Jaśnie pani wróciła do dawnych swoich operacyj na zerze. Sama objęła kasę, własnoręcznie kładła stawki. Delikatne jej palce zatapiały się w biletach, drżały, szperały między brudnymi papierkami, wciąż liczyły i ustawiały rulony. Dwa pierścienie gorącym blaskiem odbijały od tego błota lepkiej bibuły. Jaśnie pani nie mówi; Pavo, milcząc, siedzi obok niej; wygląda bardzo ponuro.

— Zero — oznajmia bankier.

Jaśnie pani nabiera otuchy, nawet Pavo w zdziwieniu podnosi oczy. Ma jednak szalone szczęście w tej całej, głupiej zresztą grze swojej. Ostatni obieg zachwiał bankiem; bankier wylicza sumę powoli, spokojnie. Człowieka tego nic już nie dziwi, widział wszystkie kaprysy hazardu, widział rzeczy najdziwniejsze. Książę przez chwilę się namyśla, poczem powoli zbiera swoje pieniądze, oddziela złoto od papierów i wszystko wkłada do kieszeni. Każe sobie podać kieliszek wina, wypija je duszkiem, podnosi się — skończył.

Jaśnie pani chwyta Pava za ramię, patrzy na niego gorączkowem spojrzeniem.

— Widzisz, widzisz! Zero jest moją barwą i moją liczbą, kochane, małe zero!

Zachwycona stawia znowu sto lei'ów na zero. Koło biegnie coraz wolniej — staje.

— Parzyste — czternaście — czerwone! — mówi bankier zcicha. Wolałby, ażeby i tym razem wyszło zero: zapalona pani nowej nabrałaby odwagi. Lecz los chciał inaczej.

Po czternastu bezowocnych stawkach na zero cierpliwość jaśnie pani urywa się.

— Wiedz, Pavo, więcej na zero nie stawiam! Możesz chcieć lub nie chcieć — nigdy! Rozumiesz. Dosyć przegrałam przez tę głupią liczbę!

Pani wpada w coraz silniejsze wzburzenie. Lokaj, który skrzypiał butami, na jej wezwanie wychodzi z sali; rumun nie zgarnął w czas wygranej — dostaje mu się gniewne spojrzenie. Jaśnie pani uskarża się, że otaczające ją osoby odrywają jej uwagę.

dzi o wysiłki dla zdobycia jakiejś przyjemności, wyrzekają się przeto tej ostatniej, aby nie zużywać nadmiernej zapobiegliwości, tak dla nich trudnej i nieprzyjemnej; natomiast silna skłonność do skojarzeń nieprzyjemnych i przygnębiających sprawia, iż cierpią boleśniej, kiedy czegoś nie mają, niż są zadowoleni z posiadania rzeczy pożądanej. Nie odczuwają pociechy i radości, jeśli coś osiągną lub mają; niepokoją się wciąż o to, czego im brak lub zabraknąć może; przejścia od rozdrażnienia i podniecenia silnego do bojaźni, od niezmiernej ufności w siebie do uczucia niemocy — oto kalejdoskop stanów ducha pesymistycznego. Benjamin Constant był typowym przedstawicielem tego rozdźwięku wewnętrznego: pożądał, czego nie miał, a co miał, ku temu czuł niechęć: radość, cnota, szczęście, wielkość — wszystko to traciło swoją wartość i powab w jego ręku nieszczęsnem. Ta sama nadwrażliwość bolesna, która czyni dla natury pesymistycznej wszelki wysiłek nieprzyjemnym, a tem samem doprowadza do zupełnego osłabienia woli i wszelkich hamulców przeciwko myślom i stanom przygnębionym, wytwarza z pesymisty wielkiego marzyciela. Świat jego wewnętrzny — to sen nieustający; człowiek wciąż ucieleśnia, i to nader wyraziście, swoje marzenia podmiotowe i wytwarza ideały. Lecz ideały te i marzenia, bądź wskutek przesady, bądź skutkiem rozstroju woli i niechęci ku wysiłkom, są nie do urzeczywistnienia. To też pełno w nich wątpliwości i pytań: po co żyjemy lub na co się zda miłość? Nawet przyznając panowanie na świecie pierwiastków nieprzyjemnych, pesymista będzie wątpił o tem podstawowem swojem założeniu. Niechęć do czynu, do współdziałania z żywemi osobami itd. pociąga ich ku systemom metafizycznym, ograniczającym świadomość i byt osobniczy, co więcej, zupełnie usuwającym osobniczość i wykluczającym czyn wraz z wolą. Niebyt — w tem pojęciu streszcza się ideał pesymizmu. Jednocześnie spotykamy tu wygórowaną podmiotowość. Sądzą, że są lepsi, niż inni, głębiej czują i że dzięki tej wyższości żyć muszą w odosobnieniu. Rozkoszują się zatem w bólu, który ma niby dowodzić, że są urobieni z lepszego materyału.

Dr. Huyghe zajął się pytaniem ogólniejszem i nadto mniej bezpośrednio związanem ze sprawą pesymizmu. Co więcej, w całej jego książce nie spotykamy nawet najmniejszej wzmianki o pesymizmie, chociaż jest ona ważnym przyczynkiem do tej sprawy. Autor poświęca swą pracę zbadaniu tych stanów patologiczno - organicznych, którym zwykle towarzyszy pragnienie lub zniechęcenie duchowe. Odejmuje on je wszystkie w pojęciu dolegliwości artrytycznych. Przedewszystkiem usiłuje wykazać ścisłą zależność pomiędzy artrytyzmem a niektoremi nerwicami, tak że dziedziczność nerwicowa byłaby niekiedy tylko dziedzicznością artrytyzmu. W tym wypadku ma H. już za sobą takiego poprzednika, jak znany psychiatra Charcot. Nerwica, jego zdaniem, winna być rozpatrywana jako pojedynczy epizod i szczególny objaw choroby daleko ogólniejszej, obejmującej kilka z rzędu idących po sobie pokoleń, a występującej w każdem pod inną postacią kliniczną: w tej samej rodzinie choroby skórne (np. eczema) ojców przechodzą u synów w reumatyzm lub podagrę, u wnuków zaś i prawnuków w migrenę, epilepsyę, choreę i in. Sam artrytyzm polega na kongestyach miejscowych w organizmie, przy dziedziczności chorobliwej występujących już w najwcześniejszej młodości i wzrastających z wiekiem. Zakłócenia w krążeniu krwi są najcharakterystyczniejszą cechą tej niemocy, a uwidoczniają się one w nieregularnym obiegu i istnieniu szczególnych przypływów do tej lub innej okolicy ciała. Stosownie do organu występują one na powierzchni ciała jako szczególnego rodzaju wysypka, w stawach jako reumatyzmy itd., wreszcie w nerwach dają początek pewnym nerwicom. Dr. Huyghe poszukuje jeszcze głębszych przyczyn tego zakłócenia systemu krwionośnego: w nienormalnem odżywianiu, a raczej trawieniu. Wydzieliny artrytyków zawierają zbyt wiele kwasów, które znajdując się we krwi wywierają wpływ podrażniający na ścianki naczyń. „Artrytycy są to osoby, robiące złą chemię w ciele swojem i dzięki temu zatruwające się systematycznie.“ Z tymi stanami organicznymi idą w parze odpowiednie duchowe. Już doświadczenie codzienne stwierdziło charakter zmienny i podrażniony reumatyków oraz cierpiących na podagrę. Według d-ra Huyghe jest to cecha właściwa duchowości wszelkich artrytyków. Niepokój nieustający, potrzeba powietrza i przestrzeni, nadzwyczajna wrażliwość na zmiany temperatury i ciśnienia powietrza, łaknienia ruchu — oto znamiona charakteru artrytycznego. U niektórych, dotkniętych artrytyzmem piersiowym, widzimy podobne uczucie niepokoju we wszystkich ograniczonych przestrzeniach: w kościele, sali koncertowej, zwłaszcza jeśli drzwi są zamknięte; to uczucie dręczące opanowywa ich nawet pod otwartem niebem, kiedy znajdą się wśród licznego tłumu (przypominamy klaustrofobię urodzonych włóczęgów). Niespokojna ruchliwość stanowi też główny rys duchowości owego typu. Artrytyk nerwowy wciąż pożąda czegoś nowego — nie przez ciekawość, lecz z usposobienia chorobliwego. Bezustannie stawia sobie jakieś nowe cele i zaledwie ukończył rzecz jedną, zaczyna inną: jeśli mu zabraknie pola do działalności, czuje się nieszczęśliwym. Wszystko, do czego się bierze, poczyna z zapałem, lecz brak mu wytrwałości; jeżeli omyli się, od razu zwraca się w inną stronę. Nieudanie nie martwi go, lecz daje mu sposobność rzucić dawne i wziąć się do nowych planów. Rzadko jest zadowolony, gdyż zawsze czegoś pożąda. Ryby te ulegają zmianom, odpowiednio do tego, czy mamy przed sobą limfatyka lub sangwinika, oraz w miarę natężenia samej dolegliwości. U dzieci dotkniętych artrytyzmem, jeśli one chowają się w osamotnieniu, rozwija się w silnym stopniu marzycielstwo. U niektórych osób, na pewnym szczeblu choroby, ukazuje się hypochondrya, ludzie wciąż cierpią na najrozmaitsze choroby urojone, co zresztą bywa rzeczą zrozumiałą wobec tego, iż organizm ich jest wciąż napastowany najrozmaitszemi dolegliwościami w rozmaitych okolicach ciała. Następnie u artrytyków-marzycieli posępność zlewa się z marzycielstwem, stają się oni pastwą nieokreślonego smutku, bez powodów i przyczyny, który wsiąka w całą ich duchowość. Jakby czarna zasłona spadła na ich idee, wszystkie ich plany są pełne zwątpienia, jak gdyby życie nie posiadało żadnego celu, a jednocześnie pielęgnują jakiś wymarzony, lecz niemożliwy do urzeczywistnienia obraz szczęścia indywidualnego. Kochają swój smutek, obchodzą się z nim jakby z dzieciąciem, czują nawet radość z tego powodu, że cierpią. Otóż w tym typie artrytycznym spostrzegamy te pierwiastki duchowe, które Magalhaes uważa za podstawę usposobienia pesymistycznego.

Perez, zdawszy sprawę z wywodów Magalhaesa i Huyghe, czyni kilka zarzutów.

— Słyszę brzęk much — mówi — tu na szybach muszą być muchy. Wypędźcie je.

Kasa jej szybko znika. Rumun odzyskał szczęście: jaśnie pani z niechęcią spogląda na pieniądze, które po każdym obiegu rulety zgarnia ten człowiek.

— Patrz! Zostało mi się parę nędznych leiów! — rzeknie pani do Pava. Ale nie ustąpię, przegram wszystko dla ciebie! Stawiam więc dwieście leiów na czerwone, ponieważ czerwone jest twoją barwą.

— Czerwone wygrywa. Może — powiada — czerwone się poszczęści.

I znowu pani stawia na czerwone.

— Nieparzyste — trzynaście — czarne!

Teraz jaśnie pani traci władzę nad sobą.

— Idź sobie! woła do Pava. Nie masz szczęścia! Czyż nie widzisz, że prowadzisz mnie na zgubę. Chcę się odegrać, chcę odegrać moje pieniądze. Gram w tym tylko celu, ażeby tobie dać naukę.

— Jestem już pouczony! — odeprze Pavo. Przyczem nalega: Chodź matko, chodźmy już!

— Jeszcze nauczka zbyt mała! Trzeba ci nauki porządnej, bo inaczej znowu w dawny wpadniesz nałóg. Idź sobie, Pavo! Nie zechcesz mnie przecież zrujnować!

— Ale nieprawda? — mruknie ironicznie syn — nieprawda, pozwolisz, że czekać będę na dole, póki się to pouczanie mnie nie skończy! Wstaje i wychodzi.

Minęła dziewiąta. Publiczność stopniowo opuszcza salę, tylko rumun i ów stary żołnierz trwają jeszcze na stanowiskach. Siwy wojak gra nadzwyczaj ostrożnie, pięcioleiówki swoje stawia z największą subtelnością, gra sobie zwyczajnie o marne drobne pieniądze i wygrywa. Szczęście niezmiennie mu sprzyja: lecz to nie czyni go śmielszym.

Jaśnie pani gra zupełnie inaczej: po najsłabszym przebłysku szczęścia rzuca się natychmiast na wielkie ryzyka. W chwili, kiedy Pavo opuścił salę, posiadała zaledwie tysiąc leiów; w dwóch następnych obiegach wygrywa czterysta; stawia je na parzyste i przegrywa. Biedna kobieta wzbudza szczere współczucie: lituje się też nad nią cała publiczność. Książę z żywem zajęciem śledzi za jej grą. W końcu przynosi jej wielką szklankę wina.

— Nie szczęści ci się, łaskawa pani — rzecze — przestań na dzisiaj!

Radzi, pomimo że dawanie rad sprzeciwia się regulaminowi. Bankier udaje, że nie słyszał. Jaśnie pani nie odpowiada; podnosi na książęcia spojrzenie ciężkie, gorące i duszkiem wychyla wino.

I nagle szczęście, zda się, znowu zaczyna sprzyjać jej. Wygrywa trzy razy, raz po razie — znaczne sumy. Porusza ustami, szepcze słowa jakiejś modlitwy, wzywa pomocy nieba. Znowu przegrywa, na głos modli się do Boga o szczęście. Stary oficer nie zwraca na to uwagi, zanadto pochłaniają go szanse jego pięciu leiów; lecz rumun słyszy te szepty, mimo gorączki i zdenerwowania. Na chwilę cofa rękę, wymienia z bankierem szybkie spojrzenie i zagarnia ostatnią swoją wygranę. Teraz i on grać już przestaje. Błędnym wzrokiem wodzi naokoło siebie, jest bardzo blada.

— Do licha z tą czarną barwą! — woła na głos. Usta jej drżą, oddycha szybko, ciężko. Zastanawia się chwilkę; bankier obserwuje ją; mechanicznie wypłaca staremu żołnierzowi pięć leiów, nie myśląc o tem, czy mu się one należą, czy nie; jaśnie pani ciągle jeszcze siedzi na miejscu, widać rozważa. Czemuż nie idzie? Pani zdejmuje oba pierścienie, jeden po drugim i przez koło podaje je bankierowi. Ten je szacuje szybkiem spojrzeniem, kładzie spokojnie do innych i wzamian wręcza jaśnie pani trzy tysiące leiów w złocie. Wokoło panuje milczenie. Pani przez całą minutę może trzyma ciężkie rulony w ręce, drży na całem ciele. Nagle gwałtownym ruchem do połowy podnosi się na krześle i kładzie wszystkie rulony, jeden po drugim, trzy tysiące leiów stawia na czarne. Złote monety z cichym brzękiem uderzają o siebie pod papierem.

Koło turkocze, wiruje spokojnie, gładko dwadzieścia, trzydzieści razy, zwalnia biegu i — staje.

Czerwone!

Jaśnie pani zrywa się. Oburącz chwyta się za głowę i z krzykiem woła:

— Na Boga żywego — przegrałam!

(D. n.).

Przedewszystkiem zaznacza on, że niektóre stany duchowe, które dwaj ci badacze wciągnęli w zakres właściwości neurastenii lub artrytyzmu nerwowego, mogą istnieć niezależnie od nich. Nadmierne np. zajmowanie się samym sobą jest właściwe każdemu choremu. Następnie potępia on zbyt pospieszne uogólnienia. Po za tem jednak przyznaje olbrzymią przyszłość tego rodzaju poszukiwaniom nad psychologią chorób. Rzuca z tego powodu kilka pytań, między innemi, czy istnieją w odmiennych chorobach stany duchowe dostatecznie różne i czy w dalszej przyszłości, mając przed sobą stan duchowy pewnej osoby, nie będzie można odgadnąć z góry, jakim ulegnie on zmianom pod wpływem tej lub innej niemocy organicznej, a nawet choroby poszczególnej, np. wątroby, organów trawienia, układu krwionośnego itd.? *K.*

NIE DO UWIERZENIA A JEDNAK PRAWDZIWE,

czyli spolszczenie geologii Dany przez p. J. Siemiradzkiego, doktora „es sciences,“ docenta geologii na cesarsko-królewskiej wszechnicy we Lwowie.

„Eine jede *Täuschung von Erwartungen* ist ein Leid, das andern zugefügt wird und also ein, wenn möglich, zuvermeldendes Uebel, welches um so grösser ist, je zuversichtlicher die Erwartung war... Das Uebel der getäuschten Erwartung wird in besonderem Grade gesteigert, wenn jene Erwartung eine solche ist, welche allgemein als berechtigt angesehen wird, da in diesem Falle auch andere Menschen, die von jener getäuschten Erwartung Kunde erhalten in ihrem Vertrauen auf menschliche Treue und Zuverlässigkeit erschüttert werden.“

Dr. G. v. Giżycki, *Grundzüge der Moral* str. 100.

Śród naszego mało ukształconego i ubogiego społeczeństwa mnożą się wydawnictwa tandetne, po większej części tłomaczenia, dokonywane przez literatów do wszystkiego, reporterów, wogóle ludzi, nieznających ani języka, ani przedmiotu, którzy zresztą mają zwykle tyle jasnego sądu o swej własnej wartości, że nie roszczą przynajmniej pretensyi do sławy i skromnie ukrywają swe nazwiska. Jakkolwiek już ten objaw jest nad wyraz smutny, a nawet dla naszego społeczeństwa groźny, w wyższym jednak daleko stopniu da się to powiedzieć wtedy, gdy tandetność wdziera się do wydawnictw takich, jak wymienione w tytule. Ujemne znaczenie objawów tej ostatniej kategoryi jest dla nas tem groźniejsze z wielu względów, a w pierwszym rzędzie z tego, że nasze społeczeństwo wskutek lenistwa umysłowego nie zwykło patrzeć krytycznie na książki, lecz kieruje się w ich wyborze patentowaną marką zupełnie tak samo, jak np. w wyborze różnych specyfików leczniczych, które spokojnie zażywa, nie troszcząc się bynajmniej o ich skład chemiczny, nie pojmując jego własności trujących *).

Na tej podstawie spodziewam się, iż moje twierdzenie o tandetności powyższego wydawnictwa nie jeden czytelnik uzna jako „nie do uwierzenia“; a jednak dowiodę mu faktami, że jest ono „prawdziwe“ i to pomimo wyrażonej w przedmowie „nadziei“ p. Siemiradzkiego, że książka Dana (chyba Dany?) w ten sposób nie przełożona, lecz w ścisłem znaczeniu tego wyrazu (p. S. jak zobaczymy niezmiernie lubi „ścisłość“ wyrażeń) spolszczona **) odpowie wymaganiom, jakie obecnie stawiać możemy elementarnemu podręcznikowi.“ Obaczmyż, czy nadzieja p. S. została ziszczona.

Na str. 4 znajdujemy figurę opartą na tem przypuszczeniu, że bieguny ziemi przypadały niegdyś w środku oceanu Wielkiego i Atlantyckiego, po której p. S. dodaje „Podobne *odchylenie osi* (str. 5) ze stanowiska astronomii jest zupełnie możliwe, a niektóre fakty gologiczne dają prawo mniemać, że obecne położenie osi ziemskiej nie jest pierwotnem, lecz stosunkowo bardzo świeżej daty.“ Tymczasem na str. 197 tejże samej małej książki (tylko o 219 stronach) p. S. zapomniawszy o tem, co napisał przed chwilą, mówi: „można stąd wnioskować (ze spłaszczenia ziemi u biegunów), że w chwili gdy ziemia stygnąć zaczęła *oś jej zajmowała to samo co i dzisiaj położenie* w przestrzeni.“ I czegoż teraz początkujący w geologii czytelnik ma się trzymać? Czy oś ziemi uległa zmianie, czy nie uległa? Możnaby mniemać, że drugie twierdzenie jest słuszne, że mianowicie szanowny doktór „es sciences“ i docent c. k. wszechnicy, spolszczając elementarz Dany, rozszerzał stopniowo horyzont swej geologicznej wiedzy i tym sposobem przy końcu roboty umiał więcej, niż na początku; tymczasem rzecz ma się odwrotnie: p. S. umiał więcej na początku, niż na końcu, albowiem drugie twierdzenie jest błędne podwójnie: naprzód spłaszczenie u biegunów według „najświeższych zdobyczy“ nie może stanowić dowodu, że oś ziemi w chwili stygnięcia miała to samo co i dzisiaj położenie: znane wyrażenie Humboldta, że „spłaszczenie ziemi jest jej historyą,“ nie ma już dziś znaczenia, gdy dowiedziono, że tylko kula *absolutnie* twarda nie spłaszczyłaby się wskutek wirowania; ziemia więc, aby się spłaszczyć, nie potrzebowała być koniecznie płynną. Powtóre błędnem jest użycie przez p. S. wyrażenia „w przestrzeni,“ albowiem że oś ziemi zmienia swe położenie w *przestrzeni*, to nie ulega najmniejszej wątpliwości dla każdego, co zna początki kosmografii, w danym więc razie może być tylko kwestya, czy oś *względem ziemi* zmienia swe położenie, czy nie, a to jest zupełnie co innego: gdy bowiem oś ziemi zmienia swe położenie tylko w przestrzeni, to bieguny ziemskie pozostają w tych samych punktach ziemi, gdy zaś oś zmienia swe położenie i względem ziemi, to bieguny ziemskie też się przesuwają.

Dalej na str. 5 p. S. podał cyfry średniej wysokości lądów według niedokładnych obliczeń Lapparenta, tymczasem można było podać świeższe obliczenie Murraya-Supana (*Peterm. Mitteil.* 1889).

Według p. S. (str. 6) pustynia Gobi stanowi płaskowzgórze na 4,000 metrów wzniesione, tymczasem w oryginale Dany na str. 14 podano wiernie 4,000 „feet.“ Pustynia Gobi ma przytem leżeć (str. 8) „między Himalajami i górami Kuen Lun z jednej a Ałtajem z drugiej strony.“ Gdyby p. S. był spojrzał na mapę Azyi, to by się łatwo był przekonał, że w ten sposób ani Gobi, ani żaden kraj leżeć nie może. W oryginale Dany na str. 15 ustęp ten brzmi: „Between the Himalayas (or rather the Kuen Lun Mountains, which are just north) and the Altai,“ a to jest co innego; znaczy to bowiem, że granica może być taka (Himalaje) lub taka (Kuen Lun), stosownie do tego, czy Gobi pojmiemy w znaczeniu obszerniejszem, czy ściślejszem. Tymczasem tłomacz, opuściwszy nawias, pomieszał pojęcia i stąd powstał nonsens topograficzny.

Ocean Indyjski u p. S. (str. 9) ma być jakoby głębszy od Wielkiego; jest to epokowe odkrycie p. S., które nie powino być trzymane pod korcem.

Na str. 13 czytamy: „Jakkolwiek zwykle bezbarwny (kwarc) lub *szary*, niekiedy bywa zabarwiony na kolor czarny, *szary* itd.“ Znów tutaj czytelnik czy uczeń nie będą wiedzieli, czy „zwykle szary,“ czy „niekiedy szary“ (winno być: zwykle biały).

P. S. określa skały metamorficzne (str. 20) jako przeobrażone działaniem ciepła wewnętrznego ziemi, jakby nie istniał metamorfizm tektoniczny. Tutaj również mówi, że szczeliny ziemi zostały otwarte działaniem ognia wewnętrznego, znów jak gdyby nie istniały szczeliny tektoniczne, a wulkanizm nie był jedynie zjawiskiem wtórnem — skutkiem nie przyczyną (nie licząc wypadków wyjątkowych, podrzędnych).

Na str. 21 mówi p. S. o „budowie płytowej,“ nie określiwszy pierw, co ona oznacza (w podobny sposób mówi na str. 44 o „przerzucaniu pokładów“); tu również czytamy: „zlepieniec składa się z okruchów zaokrąglonych lub ostrokańciastych; w pierwszym razie nazywamy go zlepieńcem, w drugim — okruchowcem.“ Wyrażenie niezręczne, uczeń bowiem zauważy ze zdziwieniem, że są takie zlepieńce, które nie nazywają się zlepieńcami. Nieco dalej (str. 32) znajdujemy znów błąd zapewne drukarski: w Irlandyi zamiast w Islandyi, nie wykazany jednak w sprostowaniu.

Na str. 33: „Jeżeli na wybrzeżu morskiem powracająca fala napotka na drodze kamyk, muszlę lub inny jaki przedmiot nawpół *zagrzebany* w piasku, woda *sącząca się po pod nim* wyżłabia w piasku małe rowki.“ Tymczasem na str. 188 czytamy o tem samem zjawisku: „woda zatrzymuje się *piętrząc nad nim i przelewając* w postaci małej kaskady żłobiącej piasek“ itd.

I cóż tu znów uczeń ma począć z tym fantem? Stukać chyba w palce; czy *pod*, czy *nad*?

Pierwsze tłomaczenie, należące, zdaje się, do rzędu „uzupełnień i sprostowań“ p. S. jest bezsensowne, bo gdyby woda sączyła się pod przedmiotem zagrzebanym, to musiałaby go wyrwać z gruntu. Przy drugiem tłomaczeniu p. S. już zapomniał o pierwszem. Na niejaką pociechę p. S. wyrażę tu przypuszczenie, że i to drugie tłomaczenie, jakkolwiek pochodzące od Dany, nie wydaje mi się trafnem: sądzę mianowicie, że gdyby przedstawione na figurze rowki po za zagrzebanymi przedmiotami pochodziły od wody przelewającej się przez ich wierzch, to musiałyby być coraz szersze, a nie coraz węższe (im dalej od przedmiotu) bo przelewająca się woda rozlewa się na boki i działa na coraz szerszą podstawę. Zdaje się więc, że te zwężające się rowki pochodzą stąd, iż leżą, że tak powiem, w cieniu powracającej fali, która osadza piasek po obu stronach, pozostawiając wolny ów „cień,“ który tym sposobem tworzy z czasem zagłębienie. Zresztą pozostawiam tę kwestyę do rozstrzygnięcia hydrotechnikom, którzy z podobnemi zjawiskami działania wody muszą być praktycznie obznajmieni.

Na str. 41: „Jeżeli szczyt fałdy górskiej tworzącej siodło zostanie ucięty, wtedy nie podobna dopatrzyć się w niej śladów sfałdowania“. Należało tu dodać wyraźnie, że to nie w każdej fałdzie (bo przecież antyklinalną można zrekonstruować, lecz tylko w izoklinalnej; dla początkujących trzeba być ścisłym i jasnym, aby w ich umyśle nie wzbudzić zamętu; tymczasem p. S. nie określił wprzódy, co to jest *fałda izoklinalna* i tylko podpisał ten termin pod figurą. Na tejże stronicy czytamy dalej: „zjawisko to nazywamy obnażeniem (abrazyą); to znowu nieścisłość, bo nie każde obnażenie nazywa się w nauce abrazyą; termin ten stworzony przez Richthofena oznacza ścięcie; zestrychowanie lądu przez fale *morskie* przy równoczesnej pozytywnej zmianie poziomu. Dalej na tejże stronicy figura 41 ma oznaczać, jak podpis głosi: „szczątki fałd zniszczonych przed wodę (denudacya)“. Naprzód niewiadomo, dla czego mają to być koniecznie szczątki *fałd*, tembardziej, że warstwy lewe leżą poziomo, w tekście zaś jest znów mowa, że „możliwo ich *uskoki* są ukryte“. A więc znów cóż? czy fałdy, czy uskoki?— boć to gruba różnica! Powtóre pojęcie

---

*) Powtóre p. S. czyni krzywdę całemu szeregowi wydawnictw, śród których pojawiła się np. tak wyborna książka, jak *Meteorologia* Mohna, spolszczona z wielką znajomością przedmiotu i języka przez p. Stanisława Kramsztyka; ktoś, co przeczytał z całego szeregu tylko książkę p. Siemiradzkiego, mógłby nabyć o całem wydawnictwie niekorzystnego a niezasłużonego wyobrażenia.

**) Pan S. dodał rzeczy swojskie oraz „uzupełnienia i sprostowania, odpowiadające *najświeższym zdobyczom* nauki naszej“ (tj. geologii).

„denudacyi“ nie potrzebuje być wiązane z pojęciem fałd i potrzecie: wskutek tego uczący się wpadnie w chaos denudacyi, obnażenia i abrazyi, nie wiedząc jaki między temi pojęciami zachodzi stosunek.

Na str. 42: „skoro pokłady skalne zostały *podniesione* lub *obniżone* następnie zaś przykryte przez nowe warstwy poziome, mówimy naówczas, że są one z sobą w niezgodnem uławiceniu“. To nieprawda, bo przecież warstwy mogłyby się podnosić lub obniżać w ten sposób (poziomo), że nowe warstwy poziome ułożyłyby się na nich zgodnie. To też w oryginale Dany na str. 57 czytamy inne prawidłowe wyrażenie: „tilted or folded“, to znaczy warstwy „pochylone lub sfałdowane“, co p. S. źle przetłomaczył i znów wypadł bezsens. Przytem figurą, służącą do objaśnienia tekstu, trudno czytelnikowi się oryentować z powodu właściwego jej pomieszczenia liter, oraz braku litery *b*. Dalej: całej oracyi p. S. o starszeństwie warstw czytający chyba nie zrozumie, albowiem p. S. mówi, że „warstwy *cd* są starszemi od *ef*“, podczas gdy Dana mówi wyraźniej: „warstwy poniżej linii cd są starsze od leżących między *cd* i *ef*“; przytem p. S. mówi o warstwach *cd*, że „uległy sfałdowaniu“ czego bynajmniej z figury nie widać (u Dany to warstwy są „tilted“).

Dalej przy wyrazie „wypiętrzeń“, mamy w nawiasie „dyslokacya“; tu znów uczący się będzie błędnie myślał, że termin „dyslokacya“ oznacza tylko „wypiętrzenia“, tymczasem on oznacza każde wyprowadzenie warstw z pierwotnego położenia.

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Romans psychologiczny. — Sienkiewicz, Hervieu, Prévost, Margueritte, Schwob. — Kierunek moralny. — Bourget „Nouveaux pastels“ Paryż, 1891.

Jak przystoi na czasy „ewolucyi,“ Bourget, a wślad za nim i Rod posunęli się obecnie jeszcze o jeden krok na drodze swej karyery literackiej. Nie wystarcza im już „analiza“ przedmiotowa stanów ducha — którą się dotychczas zadawalali — potrzeba im jeszcze „zadań moralnych.“ Manifestem ze strony Bourgeta był wstęp do „Ucznia“; Rod przyznał się do tejże zmiany swych poglądów w „Idées morales du temps present.“ Gdybyśmy chcieli koniecznie szukać głębszych przyczyn tego zwrotu, znaleźlibyśmy je w ogólnej reakcyi życia europejskiego, która silnie przypomina czasy „porządku moralnego“ lub Restauracyi. Jeżeli średnie talenty są tylko wytworem otaczających warunków, nie zaś ogniskami, z których wychodzą promienie nowego życia, jeżeli tylko geniusz ma moc odwrócenia potoku mózgów, skierowanych w jedną stronę, w stronę wprost przeciwną, to na podatności, z jaką Rod i Bourget ulegli wpływom otoczenia, mamy najlepszy dowód umiarkowania ich uzdolnień. Publiczność wymaga romansów, mających pewien zapaszek i odrazu Rod pisze namiętną krytykę sceptycyzmu i pessymizmu, którym dawniej hołdował z takim samym zapałem, jak obecnie hołduje nowo-katolicyzmowi de Vogüé i mistycyzmowi Desjardéns'a. Bourget zaś, stosując obecne swe teorye do praktyki, daje kilka lekcyi moralnych w „Nouveau pastels.“ Ale są i inne przyczyny wskazanej zmiany. Pole „psychologii,“ jak ją francuscy powieściopisarze zrozumieli, wyczerpano zostało do gruntu, tak dalece, iż niepodobna zeń wycisnąć najmniejszego już plonu. Nie pomaga przybieranie smętnej pozy wobec zjawisk zwykłego obżarstwa lub rozpusty, czem Bourget zdobył sobie słuszny epitet „cochon triste“; nie pomaga obstawianie najprostszych wypadków masą najbardziej złożonych przyczyn, czyli „rozcinanie włosa na cztery części“ — ostatnie romanse autora, a szczególniej „Coeur de femme,“ były nad wyraz słabe i dawały świadectwo zupełnego wyczerpania. A jeżeli u nas powieść w rodzaju „Bez dogmatu„ może jeszcze stanowić „ewenement,“ to we Francyi „arcydzieła“ tego gatunku tak spowszedniały, iż sprowadziły przesilenie na rynku dziennikarskim. Typ wybrany przez Sienkiewicza jest tak zjedzony, że niema obecnie w Paryżu młodego autora, któryby po tej ubitej drodze nie stawiał pierwszych kroków. Istnieje gotowy szablon, w którym wszystko, aż do najostatniejszego rysu, opracowane zostało przez innych. Dla wysnucia wątku i psychologicznej analizy takiego „Bez dogmatu“ nie trzeba było najmniejszego wysiłku umysłu, ani też twórczej fantazyi. Gdybym nie był przekonany, iż Marcel Prévost nie umie po polsku, możnaby sądzić, że ostatnia jego powieść „La confession d'un amant“ była pisana przez człowieka, któremu „Bez dogmatu nie było obce, w rzeczywistości sądzę, iż Sienkiewicz podczas aktów twórczości — że tak powiem — miał przed oczyma romanse Bourgeta, Prévosta, Roda i kilku innych. Z drugiej strony i sam Bourget nie jest oryginalny: „przeżuwa tylko wytwory swych wielkich poprzedników (Begle'a, Flauberta) dla słabych żołądków dam wielkoświatowych“ — jest to zarzut, który sam Bourget z przekąsem przytacza, co bynajmniej zresztą nie osłabia jego siły. Co się tyczy Sienkiewicza, to zdaniem naszem ostatnie jego „arcydzieło“ zadało mu cios potężny, pokazując istotną miarę talentu. Takiej analizy mógł sobie pozwolić początkujący pisarz, ale nigdy „mistrz w pełni swego rozwoju.“ Naśladownictwo europejskich wzorów jest tu tak rażące, iż jeden z krytyków (Chmielowski, zdaje się), zarzucił autorowi, iż typ jego bohatera jest obcy naszemu społeczeństwu, co w założeniu może nie jest słuszne, prawdziwe jednak o tyle, iż Sienkiewicz miał gotowe wzory, których bynajmniej nie prześcignął, a często nawet nie doścignął. „Bez Dogmatu“ było klęską dla Sienkiewicza, gdyż teraz można go śmiało uważać za zdolnego ucznia Bourgeta, który w szeregu innych jego uczniów, jak Marcel Prévost, P. Margueritte, Jules Case lub P. Hervieu zajmuje wybitne miejsce. M. Prévost odrazu wyróżnił się ostatnią swą powieścią, która nawet przewyższyła stanowczo „Coeur de femme.“ Zresztą „La confession d'un amant“ pisana jest tak, iż możnaby ją śmiało przyjąć za utwór Bourgeta z lepszych czasów. Tenże ulubiony typ Hamlecika arystokratycznego (jak i u Sienkiewicza), który boryka się i łamie w walce z miłością, to ginącą pod wpływem „analizy,“ to znów się odradzającą. Rzecz dziwna: podczas gdy Dostojewski swą „psychologię“ wysnuwa na tle zadań społecznych, francuscy psychologowie, a wślad za nimi i nasi, z pod jarzma miłosnego w żaden sposób wyłamać się nie mogą. Próbę wykroczenia z tej utartej kolei zrobił Jules Case, który w *Bonnet rouge* daje psychologię renegata radykała, a w *Ame en peine*— księdza niedowiarka. Niestety, chęci nie brak, ale siły nie domagają. Najlepsze te dziełka autora nie noszą stempla oryginalności. Nie można tego powiedzieć o bardziej utalentowanym P. Hervieu, który swoim *L'inconnu* obudził kiedyś wielkie nadzieje: nieznajomy bohater pamiętnika naszpikowany jest gruntownie psychopatyą, gdyż jednocześnie podległy rozdwojeniu osobowości, halucynacyom, katalepsyi, tak iż wydaje się być wcieleniem podręcznika chorób nerwowych. Po tym jednak wątku „analizy“ autor dał już tylko kilka nowel i większą powieść *Flirt*, z życia a raczej próżniactwa wielkoświatowego, która oprócz stylu ma za sobą jeszcze realizm, przypominający raczej Zolę, niż Bourgeta— ale więcej nic. Wspomnijmy także śród „psychologów“ P. Margueritte'a, który w „Jours d'epreuve“ nakreślił sielankę rodzinną drobnego urzędniczka, rozkwitającą dopiero w Afryce, gdzie można sobie dopiero pozwolić zbytek dzieci. Jest to środek widocznie na depopulacyę Francyi — inaczej nie możemy sobie wytłomaczyć powodzenia tej książki, również jak i świeżo wydanej *La force des choses*, będącej apologią czystego „mariage'u“ i związanych z nim „obowiązków“, które mają uszlachetniać miłość! Wogóle tendencya niemiła, talent niewielki. Wspomnijmy jeszcze *Coeur double* M. Schwoba, zbiór bardzo wdzięcznych, a nieraz i głęboko pomyślanych nowelek, w których wszystko kręci się zwykle koło psychologii. Jest tu zresztą szczypta symbolizmu, trochę mistycyzmu, uderzającego już u Hervieu — wogóle autor stara się, aby pochodnie na uczcie jego Muz kopciły, co nie jest bez zalet.

Innych „analistów“ przytaczać nie będziemy — oprócz Blondeta i Huysmansa, którym poświęcimy oddzielny artykuł — namnożyło się ich co niemiara; wszystko to kompiluje, kompiluje bez miłosierdzia i w sposób jaknajbardziej „objektywny,“ czem tak zniechęcili publiczność, iż rynek francuski omdlewa. Trzeba więc było wprowadzić do handlu nowy towar — „moralność.“ Już u Margueritte'a widzieliśmy idealizacyę „ogniska rodzinnego“ a Bourget i Rod właśnie się pożenili — co na „ustatkowanie się,“ jak wiadomo, świetnie wpływa, jest więc nadzieja, iż wkrótce literatura francuska zabrzmi ponownym hymenem do moralności i posagu. Już to słodki ten „obowiązek“ ma rozczulający wpływ na serca najoschlejszych mizantropów. Zaklęci kiedyś nieprzyjaciele kobiet obecnie piszą dytyramby na cześć niewieściej „intuicyi,“ a znamy takich, co kładą się urwipołciami i budzą się pewnego pięknego poranku z sumką 25 tysięcy i więcej. Święty ogień miłości usprawiedliwia ten sposób zarabiania, a ma on jeszcze i to dobrego w sobie, że jeżeli miłość przechodzi, to majątek pozostaje.

Jakkolwiek zmiana osobistych stosunków nie pozostała bez wpływu, naszem zdaniem, na sposób myślenia Bourgeta — co i on zresztą uwidocznił w jednym ze swych ostatnich bohaterów (André Mareuil), który ze zblazowanego pesymisty, po poślubieniu posażnej jejmości, stał się zadowolonym sługą moralności, bo prefektem policyi. Kierunek ten widoczny jest i u samego Bourgeta w jego „Nowych pastelach.“ Przyznajemy, iż spotykaliśmy tę „jutrzenkę nowego życia“ z przykrością, gdyż tendencye moralne takiego Bourgeta wielkiego znaczenia mieć nie mogą, a wszędzie, gdzie występują, odbywa się to ze szkodą dla prawdy psychologicznej. Najlepiej widać to na obrazku *Un saint*. Autor przedstawia pobyt swój w klasztorze włoskim z pewnym młodym uczonym, spragnionym sławy literackiej, który dopuścił się kradzieży na drogocennym zbiorze gospodarza. Mnich, spostrzegłszy brak kilku medalików, wymógł na opowiadającym, aby nie okazał znajomości czynu swego towarzysza i dobrocią, serdecznością postępowania zmusił winowajcę do spowiedzi. Bourget uważa ten punkt za „jutrzenkę nowego życia“ dla młodego uczonego. Ale zauważmy, iż ten ostatni mógł położyć skradzione medaliki, nie przyznawszy się do winy, gdyż miał po temu sposobność; autor wszakże umyślnie dorobił spowiedź, czem skrzywił charakter, nie uczyniwszy zadość tendencyi. Co do tej ostatniej, to wątpię, czyby „młody uczony“ przyznał się do winy, gdyby wiedział, iż ulega tylko fortelowi psychologicznemu w ręku przebiegłej świętości. Nareszcie co do tej świętości, która w danym razie wyraziła się, jako „triomphe de la propieté,“ a wogóle ma

z czasem zbawić świat, to ciekaw jestem, jakby się Bourget względem niej zachował, gdyby ona zastosowała w danym wypadku pojęcia pierwotnego chrześciaństwa. Sądzę, iż gorliwy pod względem tendencyi autor oddałby w ręce „sprawiedliwości“ nietylko winowajcę, ale i świętego, za tak karygodne wstrząsanie podstaw. Oczywista rzecz, iż nie mamy nic przeciw tendencyom moralnym. Przeciwnie, czas już, aby śród powszechnego brudu i upadku, w których świat się nurza rozległy się nareszcie wielkie słowa miłości i przebaczenia. Ale słowa te z pośrod nawróconych mieszczańskich „souteneurów“ napewno nie wyjdą.

W *Monsieur Legrimaudet* Bourget przedstawia ostatecznego i nieuleczalnego odszczepieńca, człowieka zwyciężonego życiem, który zrezygnował się na istnienie jałmużną. Zwichnięty literat rozpostarł na swem obliczu pokład arogancyi, która będąc tarczą w upadku, zbija zarazem z tropu litość. Całe jego zachowanie się objawiało straszną dumę, zgęszczoną w pogardę wszystkiego, co go otaczało; epigramy, które ciskał na wszystkie strony, były zatrute żółcią. Nic dziwnego, iż żyjąc jałmużną, odwdzięczał się tylko pogardą i sarkazmem. Utrzymywał go wspomniany André Mareuil, mizantropiczny dandy, którego widok upadku ludzkiego napawa szaloną wesołością. Nie był to u niego objaw zadraśniętej czułości, która ukrywa swe rany pod ironią specyalnej natury, ale raczej smutne zadowolenie pesymizmu, który rozkoszuje się sprawdzaniem swych doktryn przy widoku upadku, do jakiego dojść może pretensyonalne zwierzę, zwące się człowiekiem. Mareuil, wyjeżdżając kiedyś, polecił służącemu, aby odział Legrimaudeta od stóp do głowy: nie otrzymał tylko skarpetek i zamiast podziękowania posłał swemu „dobroczyńcy“ obojętny list z dopiskiem „tout à vous sauf les chaussettes.“ Ale, dowiedziawszy się o szlachetnym czynie tegoż Legrimaudeta, Mareuil czuje potrzebę wyrzucenia go za drzwi: litość jego wysiąkła. Tu uczucie to występuje przed nami w całej swej nagości: na pokrewieństwo jego z zemstą wskazał już Spinoza. A w najczystszej nawet swej formie jest ono zawsze sposobem pośredniego wywyższenia się i zadowolenia egoizmu. Przyparty przez tragiczny dylemat śmierci lub jałmużny, Legrimaudet wybrał jałmużnę, ale za każdym razem, gdy wyciągał rękę, serce jego darło się na kawały; cóż dziwnego, iż odpowiadał niewdzięcznością. To też Bourget w swem oburzeniu jest przesadny, również jak nie rozumie, iż wszelka próba załatwienia niedomagań społecznych, oparta na litości, musi być chybiona.

L. W.

TEATR.

E. Lubowski, *Bawidełko*, sztuka w 4 aktach (5 odsłonach).

Przyjęcie chłopskiego lub ubogiego dziecka za swoje przez bezdzietnych a bogatych rodziców, wynikłe stąd rozterki między prawdziwą a przybraną rodziną, było tematem do powieści lub noweli w obcej i naszej literaturze.

Chłopskie dziecko, wzięte przez bogatą wdowę i właścicielkę ziemską, posłużyło p. Lubowskiemu za temat do jego najnowszego utworu scenicznego. Hanna, córka stangreta Macieja, nałogowego pijaka, wychowana była przez bogatą dziedziczkę, panią Stalicką, w zbytku i życiu wielkoświatowem lalek salonowych. Rodziców, którzy po stracie licznego rodzeństwa zgłaszają się po nią, ani znać, ani widzieć nie chce. Nic dla niej bowiem już chata wieśniacza, jak nic dla niej miłość Sośniaka, gajowego, który chował się z nią razem a kochał ją oddawna. Do wyjawienia uczuć serdecznych przed p. Stalicką, a następnie przed Hanną skłoniła go obawa o los ostatniej, wystawiony na szwank przez siostrzeńca bogatej obywatelki, hr. Stefana, utracyusza i wielkiego nieponia. Umizgi jego były na rękę p. Stalickiej, zamierzającej uczynić Hannę swą jedyną spadkobierczynią i parę tę ślubnym połączyć węzłem; lecz obawy Sośniaka nie były płonne, gdyż hr. Stefan bytność w tym domu zaznaczył uwiedzeniem przybranej córki swej ciotki. Następnie namawiany do małżeństwa i zagrożony wydziedziczeniem nie waha się tę najdroższą dla skańbionej kobiety tajemnicę wyjawić swej ciotce i ściśnięty do muru postanawia żenić się z Hanną, bez miłości i przywiązania. Niezadługo potem zakrada się do kredensu stary Maciej i flaszką spirytusu upija się i tarza po ziemi, w chwili, gdy po raz pierwszy spostrzegła go i poznała córka rodzona.

Na tej efektownej scenie kończy się drugi akt sztuki. Następny, po upływie lat dwóch, rozegrywa się w Warszawie i w nader plastyczny sposób ujawnia nieszczęśliwe następstwa małżeństwa z musu. Hr. Stefan traci pieniądze wraz z dawną kochanką, baronową Mélinet, zaś hrabina szuka rozrywki w strojach, zbytkach, romansach a zapomnienia, jakoby przez dziedziczność— w szampanie. Silnie i głęboko szarpnął tu autor za zepsute nerwy tak zwanego „towarzystwa“ i znakomicie naszkicował otoczenie hrabiny, złożone z takich z życia pochwyconych sylwetek jak Gładecki i Conte di Bergama. Nareszcie hrabia (narysowany w sztuce blado i bez żadnej wypukłości), wyłudziwszy podstępnie podpis żony, pozbawiają całego mienia, którem ją obdarzyła przybrana matka —i ucieka z baronową za granicę. Zubożona i sponiewierana Hanna, wraca do wyczekującej ją z tęsknotą i upragnieniem p. Stalickiej, która z macierzyńskiem prawdziwie uczuciem przyciska ją do łona i pragnie zatrzymać przy sobie do końca życia. Lecz do pozbawionej majątku matki przybranej już nic nie nęci tej kobiety młodej i pięknej, czy to chorej przez nadużycie trunków, czy zdenerwowanej życiem gorączkowem a pełnem zawodów. Za serce rzuca w twarz gorzką wymówkę, nie chce być dla niej więcej bawidełkiem, a pragnie raczej pozostać ostatnią służebnicą u Sośniaka, który ją kochał szczerą, bezinteresowną miłością. On jej nie przyjmuje, wówczas ona postanawia pójść w świat, a raczej niezadługo zdążyła przekroczyć otwarte podwoje półświata. W drugiej odsłonie 4-go aktu, który powinien być właściwie aktem piątym, widzimy ją w gabinecie restauracyi małego miasteczka, pijącą bez miary, w niewybrednem kółku młodzieży. Tam ją odnajdują matka przybrana i Sośniak, gdy w strasznym obłędzie pijackim pada, bliska nieszczęsnego żywota kresu, który jeżeli nie nastąpił jeszcze — to nastąpi wkrótce.

Oto jest pobieżna treść sztuki, której się słucha ze szczerem zajęciem. Rośnie ono z każdą chwilą i potęguje się w końcu aktu drugiego. I w istocie pierwsza połowa komedyi p. Lubowskiego nie pozostawiałaby nic do życzenia, gdyby na początku autor ujawnił nam te pierwiastki, które tak świetnie rozwinął następnie w trzecim i czwartym akcie. Spotykamy tam natomiast charaktery nowe jak Sośniaka, wybijającego się na świat dziecka chłopskiego, z naturą szczerą, prostą a niepozbawioną pewnej ogłady, oraz starego kawalera, Grzechockiego, brata Stalickiej. Postacie te narysowane śmiało budzą sympatyę słuchacza, a zdanie wygłoszone przez starego kawalera o wychowaniu i matce trafne i piękne.

Zaciekawienie, jak rzekliśmy w tych dwóch aktach rośnie, gdyż wątpliwości zdaje się nie budzić stosunek Hanny do jej rodziców i matki przybranej. Mamy przed sobą kobietę bez serca, wyciągającą ręce do zbytków życia salonowego. Wyczekujemy zawikłań psychologicznych i targań, pogrążonej w walce z sobą duszy ludzkiej. Lecz w akcie trzecim Hanna wyrasta na ofiarę niezasłużonego losu... W tem jej niejasnym i nieokreślonym charakterze tkwi, zdaniem naszem, największy błąd sztuki. Nie wiemy, czy to taż sama kobieta bez serca, czy też przeciwnie, szarpana ciągłą rozterką wewnętrzną topiąca niedolę w szampanie. Jej skłonność do kieliszka wydaje nam się sztuczna, jak gdyby gwałtem. Dziedziczność nie jest bezwiedną, nie jest wynikiem żadnych szczególnych okoliczności; pije z umysłu bo raz spostrzegła pijanego ojca swego. Popełnia też i dalszą niekonsekwencyę, czyniąc wyrzuty matce przybranej, że nie dała jej serca i uczyniła bawidełkiem, gdy ta kobieta dobra, rządna, rozumna i wykształcona zapewniła jej zapewne wychowanie wzorowe i oddawszy w końcu majątek oddała wszystko, co tylko posiadała. Owego wychowania powierzchownego, o którem mówi Hanna, bez żadnej treści wewnętrznej, modłów na książce francuskiej nie widzimy wcale w aktach poprzednich, gdzie stosunek matki do córki przybranej przedstawia się w sposób sympatyczny.

Nie podobna bez wzruszenia patrzeć na końcowe sceny sztuki, lecz mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego tę kobietę los skarał tak srogo. Czy za walkę jakoby wewnętrzną, której nie było i w której nie padła, czy za to, że była ofiarą nieusprawiedliwionej w sztuce dziedziczności? Do niedawna jeszcze pijaństwo u ludu naszego było plagą powszechną, a jednak ileż to ludzi dzielnych i światłych wyszło z owych nizin. Dowodem choćby sam Sośniak, zdrów, silny i prawy, niewłaściwy tylko ze swojem wykształceniem gimnazyalnem na niskiej służbie gajowego. Maciej wreszcie rozpił się wówczas dopiero, gdy mu grubo zapłacono za odstąpienie córki p. Stalickiej, poprzednio mógł być trzeźwym i pracowitym gospodarzem, gdzież więc tu następstwo dziedziczności?

Pomimo tych jednak usterek i niekonwencyi *Bawidełko* posiada wiele zalet scenicznych i jest sztuką niepowszedniej wartości. Wyborowa gra artystów: pp. Marcelówny (Hanna), Rakiewiczowej (p. Stalicka), Kotarbińskiego (Sośniak), Ładnowskiego (Grzechocki), Sikorskiego (Maciej), Frenkla (Conte di Bergama) i innych, oraz staranna wystawa winna jej długie zapewnić powodzenie.

D. T.

MUZYKA.

Wiedeń, 10 stycznia.

Nowa opera Jana Straussa „Ritter Pazman.“ — Libret to Ludwika Docziego. — Koncert małego Raula Koczalskiego.

Oddawna nie było w Wiedniu zdarzenia artystycznego, któreby w tej mierze poruszyło i zajęło najszersze koła, co wystawienie pierwszej opery Jana Straussa. Najpopularniejszy w świecie kompozytor, którego melodye grają orkiestry całej kuli ziemskiej, przeżył lat 67, zanim się zdecydował na napisanie opery. Talentowi jego odpowiadają najbardziej krótkie, ulotne kompozycye taneczne; stać go też na napisanie operetki, lecz opera stanowczo przekracza jego miarę. To też nie trudno pojąć, dlaczego Straus nigdy nie zabierał się do takiej pracy. Nakłonił go do niej Ludwik Doczi. Kim jest ów Doczi? Przedewszystkiem dość głośny autor komedyi romantycznej „Der Kuss.“ Ale uprawiał nietylko poezyę. Jest to postać nawskroś wiedeńska. Urodził się synem biednego arendarza-żyda w dobrach hr. Juliusza Andrassego. Magnat węgierski, widząc zdolności

chłopaka, łożył na jego wykształcenie i wychował sobie w nim przybocznego sekretarza. Zostawszy prezesem gabinetu, zrobił zeń „hofrata“ i posługiwał się głównie jego piórem, ile razy szło o zredagowanie zręcznej jakiejś noty politycznej. Andrassy ustąpił i umarł, Doczi zaś inną drogą utrwalał swą karyerę. Obdarzony niewątpliwym talentem, wystąpił jako komedyopisarz, równocześnie w języku węgierskim i niemieckim i wkrótce zasłynął jako autor „Całusa.“ Należy on dziś do śmietanki literackiej i towarzyskiej Wiednia. Niestety moralne jego przymioty nie dorównywają umysłowym. Jako poeta i literat nie ma kierunku zdrowego, sympatycznego, lecz trzyma się zasady pisania rzeczy popłatnych. Zdobywszy sobie znaczny już majątek, pod wpływem rozbudzonej chciwości chwyta każdą sposobność do zwiększenia dochodów; stąd też urodził mu się pomysł napisania libreta dla Straussa. Nie czując w sobie sił do stworzenia czegoś lekkiego, humorystycznego, wmówił w Straussa, iż ten powinien zabrać się raz do wielkiego dzieła, a wręczając mu tekst libreta, położył jako warunek kontraktowy, że opera ta ma być „durchkomponirt“ — jak mówią niemcy — od pierwszego do ostatniego słowa. Wziął się tedy nieszczęsny Strauss do owego „durchcomponiren.“ Nie bardzo widocznie sam kompozytor zadowolony być musiał ze swej pracy, kiedy wystawienie jej odwlekał przeszło pół roku pad różnymi pozorami. Kiedy wreszcie 1 stycznia operę wystawiono, teatr naturalnie był przepełniony; za bilety płacono po 30 złr., popularnego kompozytora wywoływano bez końca; lecz krytyka nie dzieliła tego zapału, a następne przedstawienia bardzo nieliczną ściągnęły publiczność. Już na rok przedtem biegały wieści, że talent twórczy Straussa zanikł, że „Pazman“ będzie bankructwem; okazało się jednak, że ten wielki umysł muzykalny sypnął raz jeszcze garścią prześlicznych melodyj, które wystarczyłyby najzupełniej do powodzenia jego utworu, gdyby libreto nie było go zmusiło do dosztukowania całych pustyń muzycznych. Winę też niepowodzenia ponosi w głównej mierze Doczi. Posłuchajmy treści: Młody król węgierski, zapędziwszy się daleko na polowaniu, wpada na łany rycerza węgierskiego Pazmana, gdzie go nikt nie poznaje. Podczas uczty rozkochuje się w pięknej jego żonie, Ewie, a kiedy małżonek się oddala, król, włożywszy hełm jego, w zmroku wieczornym całuje ją. Humorystyczna ta scena wywołuje skutki tragiczne: Ewa wyśpiewuje ból swój głęboki, król żałuje niemniej głęboko swego postępowania. Giermek, który obserwował to zajście, zdradza je swemu panu. Pazman, zrazu scharakteryzowany jako figura komiczna, nagle przemienia się na zdradzonego małżonka operowego i puszcza się w pogoń za królem. W trzecim akcie przekonywamy się, iż król popełnił winę tem większą, że jest żonaty. Zapewnia on małżonkę o niezmiennej swej miłości: wtem Pazman w furyi dobija się do wrót zamku. Król każe błaznowi przywdziać szaty królewskie, sam zaś, przebrany za błazna, staje na uboczu. Błazen na tronie wysłuchuje skargi przybyłego i rozstrzyga, że Pazman powinien dla zmazania swej hańby pocałować w czoło królowę. Wówczas król prawdziwy występuje i chce Pazmana wtrącić do więzienia, lecz królowa godzi ich, całując dobrowolnie magnata.

I w tym więc utworze Docziego cała osnowa obraca się około całusa, który, jak wiadomo jest wysoce lirycznym, lecz nie ma w sobie pierwiastku dramatycznego. Długie pieśni i recytatywa nie nagradzają tego braku i muzyka chybia celu. Co więcej, zamiast lekkości i humoru, mamy sentymentalizm, w którym Ewa i król brną po uszy. W balecie dopiero Strauss okazał całe swe mistrzowstwo, łącząc w nim polkę, walca i czardasz.

Z niezwykłem powodzeniem koncertuje obecnie w Wiedniu mały Kuczalski, który od lat trzech objeżdża świat jako dziecko „siedmioletnie.“ Nie może on przeto być już siedmioletniem, lecz pomimo to jest niewątpliwie dzieckiem cudownem. Edward Hanslick, słynny krytyk dziennika *Neue freie Presse*, pisząc o nim, powiada, że jest najniezwyklejszem ze wszystkich dzieci, jakie zdarzyło mu się widzieć w ciągu długiego życia. Zarówno jak cała publiczność zdumiony on jest biegłością i pewnem uderzeniem malca, oraz niesłychanym jego instynktem muzycznym — gdyż o zrozumieniu i uczuciu nie może być jeszcze mowy. Kuczalski grywa kompozycye Bacha, Schumana, Chopina, Liszta, Brahmsa oraz Bethovena sonatę C-dur, którą przed nim wykonywali w Wiedniu Emil Sauer i d'Albert. Rączki jego nie obejmują jeszcze oktawy, zmuszony on jest przeto opuszczać niektóre nuty, tak, że wykonanie, bądź co bądź, nie może być doskonałem.

Stwosz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Emil Laveleye.

Dzienniki przeszłotygodniowe przyniosły nam wieść o śmierci Emila de Laveleye. Nazwisko to jest dobrze znane naszej publiczności, umarły bowiem należał do autorów, bardzo u nas tłomaczonych *). Na kilka tygodni przed śmiercią wydał nową pracę dwutomową *Le gouvernmeni de la democratie*, w której zresztą nie znajdujemy nic nowego.

Fala 1848 zwróciła uwagę Laveleye'a na sprawy społeczne i oderwała go od filozofii i literatury. W 1864 zostaje powołany do objęcia katedry w Liége. Większość prac jego, nawet znaczniejszych, nosi charakter publicystyczny. Zresztą publicystyka pochłaniała go i gorączkowała więcej, niż obowiązki proferskie. Jako starzec blisko siedemdziesięcioletni, umarł niemal z piórem w ręku walcząc w sprawie rewizyi konstytucyi belgijskiej. Prócz prac, przełożonych na nasz język, jest on autorem mnóstwa dzieł w zakresie spraw monetarnych, drobnej własności rolnej oraz broszur politycznych, poświęconych przedstawieniu stanu wewnętrzno-ekonomicznego i politycznego tego lub innego kraju. Prace te, pomimo całej swojej wziętości, nie posiadają głębszego znaczenia naukowego; po paru dziesiątkach lat, wszystkie one pójdą w zapomnienie. *Własność pierwotną*, która właśnie imię Laveleye'a uczyniła tak głośnem, posiadała wielkie znaczenie historyczne — nic więcej. Kiedy się ona ukazała, w świecie naukowym panowało powszechne przekonanie, że własność prywatna gruntów z prawem użycia i nadużycia stanowi jedyną i „naturalną“ postać władania ziemskiego, że ludzkość wśród niej poczęła swoje dzieje i w jej towarzystwie wciąż je snuć będzie. Wprawdzie już wtedy z badań Maurera z prawodawstwa angielsko-hinduskiego lub niderlandzko-kolonialnego, podróży Haxthausena po Rosyi wystąpiły liczne fakty, zaprzeczające temu poglądowi, lecz po za nielicznem gronem specyalistów, którym się zachciało grzebać w tym materyale surowym, nikt o tem nie wiedział. Laveleye zebrał te rozproszone a niedostępne dla szerszej publiczności fakty; przedstawił je w formie krótkiej i względnie popularnej, opatrzył wnioskami i uogólnieniami i puścił w świat. Bezwzględność prywatnej własności ziemskiej została zachwianą raz na zawsze, a imię autora zyskało rozgłos.

Ze swoich zapatrywań społeczno-politycznych Laveleye był przedstawicielem tak zwanego demokratyzmu drobnomieszczańskiego, lecz na gruncie tradycyi wolnohandlowej. Ludność pracująca, oparta na własności ziemskiej drobnej, niekiedy kolektywnej i posiadająca narzędzia pracy rzemieślniczej, względna równość majątków — są to dla niego drogowskazy. Nienawidzi on z całego serca i walczy przeciwko porządkom wprowadzanym w życie przez wielką produkcyę, jak latifundia gruntowe, ześrodkowanie kapitałów i przemysłu, upadek rzemiosła i zamożnego a niezależnego włościaństwa. Znaną ogólnie jest jego idealizacya zielonych okienic, jabłonki w kilkułokciowym sadzie i krówki przed domostwem, a gnojowiska w pobliżu u drobnych fermerów belgijskich. Sielanka ta, owiana zapachami przyszłego nawozu w kierunku ześrodkowania bogactw. Ponieważ zaś ona, o ile hołduje zasadzie użycia własności ze strony posiadacza, doprowadza do nierówności majątkowej, przeto w kolektywnej chociaż nader złagodzonej „obszczynie“ Laveleye znajdował przeciwwagę żądaną. Z tymi poglądami łączą się u niego odpowiednie zapatrywania ekonomiczne. Jak u wszystkich ekonomistów tego kierunku, ekonomia, zamiast nauki o rozwoju stosunków produkcyjnych, wymiennych itd. staje się częścią moralności. „Ekonomia polityczna jest podporządkowana naukom, rozpatrującym człowieka, o ile on dąży do prawdy i dobra — tj. filozofii i religii.“ Zamieniwszy je zatem na pewnego rodzaju kazanie moralne, określa tę moralność według widnokręgów drobnomieszczańskich. „Moralność“ nakazuje nam być umiarkowanymi w naszych łaknieniach, sumiennymi i pilnymi w podjętej robocie, dotrzymującymi naszych zobowiązań, oszczędnymi i przezornymi w użyciu dochodów, pełnymi szacunku ku sprawiedliwości w stosunku z innymi... Każde z tych przykazań jest najistotniejszą zapowiedzią ekonomiczną. W tym to kodeksie moralnym tkwi rzeczywiste źródło praw ekonomicznych.“ Ekonomista wielkiego przemysłu doradza niekiedy zbytek, Laveleye oburza się przeciwko temu. Wszelki zbytek jest dlań równoznaczny ze źródłem wybryku. Słowem, wyobraźmy sobie uczciwego drobnego fermera, całkiem zatopionego w pojęciach swojego otoczenia i każmy napisać mu ekonomię polityczną, a otrzymamy Laveleye'a z jego ascetyzmem oszczędności, nienawiścią do zbytku i nadmiernego ześrodkowania bogactw, z jego ustrojem gminno-kantonalnym i zaściankową demokracyą, niewidzącą nic po za swoją wioską.

*) Są to: *Socyalizm współczesny*, *Własność pierwotna*. *Ekonomia polityczna* i *O zbytku*.

LIBERUM VETO.

Charakter oryginalności nowoczesnej. — Rodzaje, gatunki i odmiany w bijologii i estetyce. — Obłęd Maupassanta. — Narkotyki podbudzające niemoc wyobraźni. — Jej dzieci chore i śmiertelne. — Spadek po hr. Augustowej Potockiej. — Jego rozdział. — Najszczodrzej obdarowani. — Wspomnienie o Rapackiej. — Filipiki p. Witkiewicza. — Sekciarstwo w sztuce i równouprawnienie jej rodzajów.

Za wiele pracował, za wiele chodził i jeździł, za wiele ofiar składał Wenerze, i dlatego dostał pomieszania zmysłów — taką litanię przyczyn choroby Maupassanta odmawia jednym tchem reporterya dziennikarska. Nie zastanawia się ona nad tem, że od ruchu fizycznego nikt jeszcze nie dostał obłędu i że owemu powieściopisarzowi zbrakłoby czasu na pracę i Wenerę, gdyby jednej i drugiej poświęcił się w nadmiarze. Inna wieść twierdzi, że zgubiły go narkotyki, opium, morfina, czy haszysz, których

zażywał „dla pobudzenia wyobraźni.“ Chociaż nie mamy możności sprawdzenia tej pogłoski, wydaje się ona nam bardzo prawdopodobną, a w każdym razie z duchem obecnych czasów zgodną. I poezya bowiem weszła w epokę przemysłu — pobudzeń sztucznych. Dawniej śpiewał lub pisał ten, kto miał natchnienie — i dopóki je miał; dziś literalnie pragniemy wytwarzać poetów lub pomnażać ich płodność. Było to rzeczą całkiem naturalną, że europejczycy nowocześni, antropologicznie i fizyologicznie dość wyczerpani, stojący w tym rzędzie pokoleń ludzkich, kiedy zaczyna objawiać się osłabienie lub zwyrodnienie ras, zwrócili się do narkotyków dla wzmocnienia swych sił twórczych. Ten i ów wiedząc, że w stanie podniecenia, pod wpływem alkoholu, morfiny lub haszyszu, czuje jakieś rozprężanie się ducha, jakieś oskrzydlanie się wyobraźni, przyłożył usta do tego „kastalskiego źródła“ naszych czasów w nadziei, że ono go bodaj na chwilę odmłodzi i wzmocni. Prawie wszyscy autorzy tegocześni, pracujący imaginacyą, wyznają, że przy pisaniu podbudzają się narkotykam[1]. Jeden pije wino, drugi — koniak, trzeci — kawę czarną lub krople opiowe, których nie znał ani Dante, ani Shakespeare, ani Shelley, Goethe lub Mickiewicz. Niewątpliwie potrzeba tych odurzeń tkwi po części w zdenerwowanej organizacyi dzieci naszej epoki, ale też i w chęci sztucznego wytworzenia talentów i nadania istotnych cech wydatnej oryginalności. Każdy człowiek, który zażywał narkotyk, albo poprostu kiedykolwiek „podchmielił sobie,“ uczuł z pewnością nagle nadzwyczajne zdolności — męstwo, wymowę, humor itd. Otóż impotensom, którzy gryząc pióro, wysysają z niego zwykle sen, zdaje się, że z kieliszka wypiją pożądane natchnienie. Jedni w nim toną bezpłodnie, drudzy rodzą twory dziwaczne. Są to wszakże ofiary złudzenia, o których literatura najczęściej nie dowiaduje się wcale. Inna sprawa z jej siłami rzeczywistemi, które pragną się gwałtem rozciągnąć i spotęgować. Rozwój działalności ludzkiej odbywa się taką samą koleją, jak rozwój bijologiczny. W pewnych odstępach czasu pojawiają się nowe rodzaje zwierząt, śród ktorych powstają nowe gatunki, a śród tych nowe odmiany. Wystąpienie nowego rodzaju lub gatunku jest najwyższym momentem twórczości natury. Podobny proces dokonywa się w literaturze. Geniusze pierwszorzędni wprowadzają do niej nowe rodzaje, które następnie talenty zbogacają nowymi gatunkami i odmianami. Nasza epoka jest właśnie okresem odmian, jej oryginalność nie wydaje pomysłów wielkich, lecz drobne, nieraz tak drobne, jak kilka świeżych piórek wyhodowanych w ogonie bażanta. Nad wytworzeniem owych piórek pracuje dzisiejsze pokolenie powieściopisarzów europejskich. Z miłości i wiarołomstwa starają się oni wydobyć coraz inne kombinacye, a ponieważ ten zużyty temat został już bardzo wyczerpany, więc wyobrażaia daremnie wysila się na wypadki nieznane, trzeba ją pobudzać bardzo mocno, a co gorsza—często. Autorowie bowiem starsi pisywali obszerne powieści, w których pomysł wystarczał na kilka tomów; tegocześni pisują nowele, obrazki małe, z których każdy musi być wysnuty ze świeżego wątku. Przeczytajmy zbiorki opowiadań francuskich—ileż w nich rozmaitości zdarzeń! A co począć, gdy imaginacya odmawia posłuszeństwa, upada omdlona i nie może zdobyć się na nic nowego? Jest to chwila, w której ręka beletrysty mimowoli wyciąga się ku kieliszkowi z winem lub szprycce z morfiną. Niewątpliwie Maupassant podniecał się narkotykami, jak wielu innych autorów; to mu pomogło do urozmaicenia nowelek, ale zrujnowało organizm. Nie będziemy wylewali łez nad tem nieszczęściem — kilka lat mniej lub więcej jego działalności nie ma wielkiej wagi dla literatury. Daleko smutniejszym jest objaw narkotyzowania się wyobraźni poetów i beletrystów nowoczesnych, bo ta pijaczka rodzi potomstwo niezdrowe i nietrwało. Rzeczywiście piśmiennictwo bieżącej doby jest światem cudownych dzieci, które albo szybko umierają, albo w dojrzałości tępieją. Nam wydaje się, że stoimy śród niezmierzonego lasu drzew niebotycznych, a już wiek następny niezawodnie będzie widział w naszych czasach rozległy obszar karłowatych krzewów. Jesteśmy generacyą — jeśli tak rzec wolno — bezpłodności ciągle rodzącej — i może nie było w dziejach chwili, w którejby żyjący bardziej przeceniali wartość swych dzieł i mylili się co do ich znaczenia — dla potomnych.

Literaturze naszej przyswojono prawie wszystkie utwory Maupassanta, więc Warszawa, jak dama interesująca się wypadkami europejskimi, objawiła mu głębokie współczucie. I możeby zajmowałaby się nim jeszcze bardziej, gdyby jednocześnie nie umarła hr. Augustowa Potocka. Pani ta używała wielkiej sławy i szacuuku w naszem mieście za przyczynienie się do powstania szpitalika dziecinnego i ofiarowanie 300,000 rs. na nowy kościół przy ulicy Dzielnej. Nadto rozdawała corocznie kilkaset a może więcej rubli biednym i instytucyom dobroczynnym. Przed kilku laty zmarła bezdzietnie w Warszawie kobieta wielkiego serca, Tekla Rapacka. Jeszcze za życia cały swój majątek oddała na potrzeby społeczne, a po śmierci do wspaniałych darów dołączyła resztę mienia, na którem ubezpieczyła swoje dożywocie. Jej drobne zapisy na korzyść prywatną stanowiły maleńką cząstkę ogólnej sumy, rodzaj odczepnego, ogromna reszta dostała się instytucyom, biednym i młodzieży szkolnej. Hr. Augustowa Potocka również nie zostawiła ani dzieci, ani bliższych krewnych, a posiadała olbrzymi majątek. Nie jest on dotychczas ściśle ujawniony, gdyż w otwartym przed kilku dniami testamencie nieboszczka mówi o swoich dobrach i kapitałach ogólnie. Obliczono ją na 40 milionów rubli, w każdym razie była, jeżeli nie najbogatszą, to jedną z najbogatszych osób w naszym kraju. Podobnego spadku może nigdy jeszcze w bieżącem stuleciu społeczność nasza nie widziała. Słusznie też było zaciekawienie, jak on zostanie rozdzielony, tem bardziej, że zmarła uważana była powszechnie za najdobroczynniejszą u nas kobietę. Tajemnica została wreszcie odsłonięta. Lwią część otrzymał hr. Ksawery Branicki, mianowicie dobra Wilanowskie z przyległościami, oraz nieruchomość przy ulicy Daniłowiczowskiej z obowiązkiem opłacenia stempla i legatów, wynoszących kilkadziesiąt tysięcy rubli. Po nim idzie hr. Konstanty Potocki z Peczar, który dziedziczy ordynacyę Teplicko-Sitkowicką wraz z należącymi do niej kapitałami; jego zaś żona — akcye cukrowni sobolewieckiej i sitkowieckiej. Wszystkie kapitały, złożone w kasie Krzeszowickiej (Galicya) oraz w bankach zagranicznych, przechodzą na własność Potockich z Rymanowa. Nadto F. hr. Czacki dostał 200,000 rs., hr. Zofia Potocka 100,000, hr. Róża Raczyńska 80,000, Marya Sierakowska (z Potockich) 80,000 rs. I tak dalej. Nie wypisujemy całej listy obdarowań, zaznaczamy tylko, że wszystkie ważniejsze zamykają się w sferze arystokracyi, spowinowaconej lub nie z testatorką.

To jest pierwsza, najgłówniejsza część testamentu.

Drugą, bardzo skromną wypełniają legaty dobroczynne, w przeważnej mierze pobożne, między którymi pierwsze miejsce zajmuje kościół przy ul. Dzielnej z 300,000 rs. Z instytucyj świeckich zmarła uwzględniła: Szpital dla dzieci 3,000 rs. rocznie, Przytulisko — 6,000 rs. (jednorazowo), Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami i dziećmi — 1,500, Schronienie dla nauczycielek 1,000, Biuro informacyi o nędzy wyjątkowej 6,000, Zakład paralityków 3,000, wreszcie biedni według uznania wykonawców testamentu dostaną 20,000 rs.

Nakoniec trzecia część testamentu obdarza osoby prywatne *minorum gentium*, domownicę (2,000 rs. dożywotnie) i oficyalistów maleńkimi datkami.

Jak widzimy z powyższej notatki, olbrzymia fortuna hr. Augustowej Potockiej pozostała w ręku możnowładztwa rodowego, powiększyła bogactwa milionerów. To, co z niej będzie strącone na korzyść instytucyj publicznych i biedaków, stanowi zaledwie maleńki ubytek, który wyrówna się z jednorocznych procentów. Tak magnatka chciała i tak wolno jej było zrobić. Ale nie kwestyonując prawości jej rozporządzenia, musimy być wprost zdumieni chóralnemi nad nią uniesieniami i przyznawaniem jej tych samych zaszczytnych tytułów, którymi uczczono Teklę Rapacką.

Witkiewicz *und kein Ende.* P. Gerson skarcił go za artykuł o stylu zakopańskim, a teraz p. Jankowski z nim się rozprawia za impresyonizm. Daleki jestem od zaprzeczania p. Witkiewiczowi talentu pisarskiego, ale czy na pojedynki krytyczne z nim nie zużywamy za dużo atramentu i czy nie za wielką przywiązujemy wagę do jego filipik? Psychologicznieda się to wytłomaczyć, ale rozumowo nie da się usprawiedliwić. P. W. posiada w piórze to, co gwara dziennikarska nazywa „temperamentem,“ to jest pewną żywość słów i namiętność sądów. Kto krzyczy, zawsze hypnotyzuje — tłum. Zwłaszcza w społeczeństwie tak wrażliwem, jak nasze, temperament osiąga więcej, niż nauka, ścisłość rozumowania, niż nawet spokojny geniusz. Więc — jak rzekłem — psychologicznie jest to objaw naturalny. Inaczej on wygląda zważony rozumowo. P. W. jest sekciarzem sztuki: odmawia on w malarstwie racyi bytu t. zw. „motywom literackim“ i żąda dlań możliwie największej bezmyślności. Koń cwałujący, stojący, żywy, zdechły — przedewszystkiem koń, trzy żaby wpatrzone trwożnie w zająca, spróchniały pień drzewa, kilku chłopów trzeźwych lub pijanych na drodze — oto są według niego tematy dla pędzla, więcej warte, niż Huss na stosie lub Galileusz przed sądem. Nie będę wykazywał całej śmieszności tego gustu, bo obawiam się, czy z dość niepochwytnych i ogólnikowych twierdzeń wydobyłem go bez przesady i z należytą wiernością. Zauważę tylko, że ktokolwiek zaleca jakikolwiek kierunek sztuki, potępiając inne, niech się weźmie do czego właściwszego, niż estetyki. W dziedzinie bowiem twórczości ludzkiej nie ma rodzajów dobrych lub złych, mniej i więcej uzasadnionych, czasowych i wieczystych, lecz wszystkie, z wyjątkiem nieudolnych, są jednako uprawnione — *Germinal* Zoli, zarówno jak *Prometeusz* Shelleya, naturalizm p. Witkiewicza, zarówno jak literaryzm p. Gersona. Tu można mówić tylko o różnicy upodobań (no — i uzdolnień), ale nie różnicy praw do istnienia. Wolno każdemu uprawiać lub podziwiać ten a nie inny kierunek sztuki, ale nikt bez dopuszczenia się mimowolnego humoru nie może go ogłaszać za najwyższy lub jedyny. Przywilej takiego sekciarstwa służy jedynie ślepej wierze, ale nigdy krytyce. Otóż p. Witkiewicz stale o tem zapomina. Ze swojego gustu, swojego zamiłowania, wreszcie swoich prac usiłuje wyprowadzić reguły, obowiązujące innych i narzuca je z mocą niewzruszonych przykazań. Wygląda to tak, jak gdyby Boccacio stanął przed Dantem i rzekł: Człowieku, zlituj się i przestań pisać bajdy o piekle, czyszcu i niebie, których nie widziałeś, a opowiedz przygodę panny ze słowikiem lub coś podobnego — z natury. Tymczasem Dante poszedł swoją drogą, a Boccacio swoją, żaden drugiemu morałów nie prawił i obaj stworzyli arcydzieła, leżące na przeciwnych biegunach twórczości literackiej, a mimo to wysoko cenione. Toż samo, zupełnie toż samo stosuje się do

malarstwa. I tu panuje rozmaitość równouprawniona, która stanowi największy jego przymiot.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Wyrobnicy rolni. Do wszystkich miast ściągają gromady włościan w poszukiwaniu zarobku; kołaczą oni także do dworów częściej i natarczywiej teraz, niż kiedykolwiek i częściej, niż w latach poprzednich odprawiani są z niczem. Jeżeli taki wyrobnik mieszka we wsi gdzie poblizki dwór daje stałą pracę, to w najlepszym razie wynagrodzenie nie przekracza 15 kop. dziennie, czyli 3 rs. 60 kop. miesięcznie. Tymczasem, jak pisze korespondent *Gazety warszawskiej*, już obecnie taniej nie dostanie się korca kartofli, niż po 2 rs. 70 kop., czyli na wszystkie inne potrzeby pozostaje mu 90 kop. miesięcznie (jeżeli korzec kartofli, jako główny przedmiot pożywienia, wystarczy na miesiąc). Na przednówku zaofiarowanie pracy niewątpliwie jeszcze bardziej się zwiększy, a więc i jej cena spadnie niżej. „Jeżeli kiedy, to w r. b. — pisze korespondent — należałoby koniecznie przedsiębrać jakie większe roboty przy urządzaniu dróg, karczowaniu wycinków leśnych, lub oczyszczaniu łąk z krzaków. Są to roboty zawsze użyteczne, a jak w r. b. mogą oddać podwójną korzyść, gdyż podniosą wartość danego majątku i uchronią od klęski proletaryat wiejski."

Nasze drogi. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu zajęło się roztrząsaniem ważnej dla rozwoju gospodarczego u nas sprawy dróg komunikacyjnych w kraju — ich obecnym stanem i środkami polepszenia go. Zagadnienie to poruszył p. Ujazdowski. Stan dróg kołowych u nas pozostawia dużo do życzenia; prócz bitych (żwirówek) drugo i trzeciorzędne są w wielkiem zaniedbaniu. Szczególnie roztopy jesienno-wiosenne uwydatniają ich stan nędzny. Częściowe naprawy zaś na nic się nie zdają, bo zła nie usuwają radykalnie. Autor więc żąda, ażeby gruntowną przebudowę dróg gminy, drogą licytacyi, oddawały w ręce prywatnych przedsiębiorców, którzy koszty wyłożone na ten cel wracaliby sobie w postaci myta, pobieranego od przejeżdżających. Chociaż taka spłata trwałaby cały szereg lat, obciążające ludność podatkiem pośrednim, wszakże po pewnym czasie drogi ulepszone przez interes osobisty i będąc w stanie zadawalającym, wróciłyby znowu do gmin. Bezpośrednia korzyść stąd spłynęłaby na samę ludność użytkującą. Ale co większa, w ten sposób, w latach ciężkiego nieurodzaju, ludność zagrożona głodem miałaby obfite źródło zarobkowania. Myśl wnioskodawcy znalazła u członków sekcyi rolniczej życzliwe przyjęcie, biedzono się tylko nad tem, jak ją wcielić w życie, gdyż wiadomo, że ustawa drogowa z r. 1873 wzbrania pobierać myto.

Pomijając trudności, tkwiące w przepisach, nie jest jeszcze stwierdzonem, czy istotnie taka dźwignia ulepszeń środków komunikacyjnych na wsi, jak interes osobisty, istotnie odpowie pokładanym w niej nadziejom. Dość przypomnieć dbałość i sprawność prywatnych przedsiębiorców, na których barki spycha czasem magistrat warszawski sprawę uprzątania śniegu i błota ulicznego. Prus, który na tem już nieraz ostrzył zęby swojego humoru, miałby tu coś do powiedzenia. Idzie właściwie o kapitały, których brak gminom dla tak ogromnego przedsięwzięcia. Z drugiej znów strony stan dróg wchodzi równie dobrze w sferę potrzeb rolnictwa, jak i inne melioracye gruntowe, np. zakładanie sączków pod ziemię, nawadnianie łąk, kanalizacya itp. Dziś melioracye rolne są na porządku dziennym, godzina stworzenia kredytu melioracyjnego niebawem już wybije. Czyby więc nie należało raczej ulepszenia drogowe włączyć do listy innych, uznanych za godne kredytu, samo zaś wykonanie dzieła przebudowy dróg i czuwania nad ich stanem — powierzyć spółkom rolnym?

Zagranica tem narzędziem (za pomocą syndykatów) zaspakaja daleko większe i szersze potrzeby ogółu...

Oszczędności. *Birż. Wied.* piszą: „Kłopoty, wywołane przez tak ciężki rok, jak obecny, sprawiły, że zewsząd sypią się różne projekty zmian i oszczędności. Wszystkie te pomysły, jakkolwiek poczęte w celu przyjścia z pomocą skarbowi, muszą z konieczności zaznać losu płodu poronionego. Do rzędu takich zaliczamy projekt zmiany emerytur. Całkowita ma być przyznawana za lat 40, zamiast 35, jak dotąd i nie wcześniej, aż urzędnik dosięgnie 60 lat wieku. Emerytury połowiczne mają być zniesione zupełnie, a wyjątkowo udzielane urzędnikom, opuszczającym służbę z powodu choroby i to tylko w stosunku do lat wysłużonych. Tak więc idzie o zaoszczędzenie na wydatkach, nie przenoszących dzisiaj 25 milionów rubli rocznie. Jest to cel bardzo piękny ze względu na interes finansów, ale czy słuszny i sprawiedliwy, a nawet czy zgodny z dobrze pojętym interesem państwa? Otóż zdaniem naszem sprawy emerytur nie należy traktować jako filantropijnej. Jedynym racyonalnym poglądem jest uznanie emerytur za dług, spłacany przez rząd ludziom, którzy całe swe życie służbie poświęcili. Nie o zmniejszeniu zatem, lecz o powiększeniu może być mowa i nie przekona nas zarzut, że emerytury są wielkim ciężarem dla skarbu, zależy on bowiem nie od wysokości płacy emerytalnej, lecz od pobierającej ją liczby osób. Tu właśnie jest klucz do rozwiązania zagadki. Prawa o emeryturach zmienić niepodobna bez zmiany etatów. Obie te kwestye mogą być rozstrzygnięte pomyślnie na jednej drodze: na ograniczeniu liczby pracowników w instytucyach rządowych. Nie pogorszy to wcale ani też utrudni biegu spraw. Mniej urzędników, lecz wyższe pensye, wpłynie tylko dodatnio na ich pracę, gdyż oni poświęcą cały swój czas dla biura, zamiast, jak dotąd, zarobkiem pozabiurowym powiększać nizkie pensye etatowe. Pewność zaś otrzymania z czasem wyższej emerytury pociągnie do służby rządowej stroniącą dziś od niej inteligencyę."

Kursy rolnicze. Brak niższych szkół rolniczych w Królestwie Polskiem ma być zastąpiony przez dodatkowe kursy agronomiczne przy seminaryach nauczycielskich. Będą one dwuletnie i takie, żeby wychowańcy mogli otrzymać dostateczne uzdolnienie dla objęcia posad oficyalistów rolnych. Pierwsze na próbę otworzone będą w roku przyszłym przy seminaryum nauczycielskiem w Łęczycy. Program ich i oznaczenie zwiększonego dla seminaryów etatu opracowuje ministeryum dóbr państwa. (*Kur. warsz.*).

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Rękawicznictwo warszawskie. Towarzystwo przemysłu i handlu, jak wiadomo, włącza w zakres swego „popierania" nietylko wielką, ale i małą produkcyę przetwórczą, czyli — rzemiosła. Jak ono wywiąże się z tego ostatniego zadania i czy znajdzie kiedy dla słabowitego kopciuszka, dla małego kapitału, lekarstwo niezawodne, przyszłość okaże. Dotychczas wszakże całe poparcie jego w tej mierze streszcza się w działalności „pogadankarzów" sekcyi rzemieślniczej, których niejaką zasługą jest to, że siłą się odsłonić tajniki niektórych gałęzi produkcyi rzemieślniczej. Niedawno p. Osmała oświetlił położenie szewców warszawskich, a teraz to samo zrobił p. Michalski dla rękawicznictwa. Był czas, kiedy ten przemysł narówni z szewckim cieszył się najszerszym zbytem. Wyroby rękawicznicze rozchodziły się daleko po za obręb kraju, dając swoim wytwórcom sporo zyski. Obecnie cofnął się on pod tym względem wstecz — nie utrzymał raz zdobytego rynku. Pomimo to jednak handel rękawiczników warszawskich jest jeszcze znaczny i rozpada się na wywozowy i miejscowy. Pierwszy obejmuje przeważnie krańcowe miasta Cesarstwa, gdzie idzie towar celniejszy, i miasta gubernij północno i południowo-zachodnich, dokąd wysyłany jest lichszy. Miejscowy ogranicza się do sprzedaży w sklepach Warszawy. Ogólna produkcya, tak chrześciańska, jak i niechrześciańska, szacowaną jest na 1,200,000 rs. Bliższe warunki, w jakich rękawicznictwo warszawskie się rozwija, według referenta, są następujące:

Wszyskich warsztatów rękawiczniczych w Warszawie jest 116, z których 35 należy do chrześcian, a 81 do żydów. Chrześciańskie zatrudniają 112 czeladników i 38 uczniów, niechrześciańskie 158 czeladników 202 uczniów. Produkcya pierwszych wynosi 468,000 rs., drugich — 720,000. Zarobek, jaki daje szwaczkom szycie rękawiczek, przy wycieńczającej 12-godzinnej pracy, przynosi na czysto zaledwie 82½ kop. dziennie. Ale, żeby zarobić nawet tyle, robotnica musi posiadać uzdolnienie, ogromną wprawę czyli uszyć dziennie przynajmniej cały tuzin. Cóż dopiero mówić o mniej uzdolnionej? A zarobek ten dotyczy produkcyi „wyrobowej," lepiej płatnej...

Co zmniejszyło zakres rynku zewnętrznego rękawiczników? Ktoś na poprzedniem posiedzeniu Tow. przem. i handlu wskazał przyczynę. Według pochlebnej opinii zainteresowanych wyrob rękawiczek warszawskich jest wysoko posunięty, ale pozornie tylko. Jeden ze śmielszych oświadczył, że u nas rękawiczek nie umieją robić i dlatego nie mają one szerszego zbytu zamiejscowego. Zdanie to wyszło z ust przedstawiciela jednej z poważniejszych firm. Inny majster zapewnił wskok, że rękawiczki warszawskie nie ustępują wcale zagranicznym, brak zaś ich wywozu ma inną przyczynę: rękawicznicy warszawscy zarabiają na swych wyrobach zaledwie 10%, nie mogą więc dawać rabatu agentom handlowym. Ale i to zdanie z kolei zabito innem. Dalsze rzprawy wykazały, iż rękawicznicy żydzi zbywają swój towar o 30%—40% taniej od chrześcian, nie tracąc zysków. Zdawałoby się, iż wyjaśnienie tego zjawiska jest proste: jedni sprzedają dobry towar, drudzy — tandetę. Ale rękawicznik, p. Vetter, zwrócił uwagę, że tak chrześcianie, jak i żydzi kupują skóry u tych samych rzemieślników, z tą tylko różnicą, że chrześcianin wybiera skórki mniejsze po 13 — 14 rs. i wykrawa z nich 28 do 32 par, żyd zaś bierze większe, z których wykrajać może od 40—42 par i płaci za nie tylko 10 — 11 rs. — ale bez wyboru. Rzecz szczególna, że skórki większe wcale nie są gorsze od mniejszych — nawet trwalsze.

A więc nie tu *ist der Hund begraben.* Gdzież tedy? Nie jakość i cena surowego materyału, lecz koszt produkcyi wskazano jako kozła ofiarnego. Majster chrześcianin płaci czeladnikowi za uszycie tuzina rękawiczek rs. 1 do 1,20, gdy rękawicznik żyd trzyma tylko jednego czeladnika i 10 chłopców, którym nie płaci nic i których nie żywi nawet — pracują oni bezpłatnie dlatego, że mają nadzieję *po roku* pracy zostać czeladnikami i zarabiać na siebie. Ma się rozumieć, że taki stan rzeczy stwarza dla majstrów-chrześcian nierówne warunki współzawodnictwa na rynku, że świadomość tego położenia potęguje zawiść u jednych, a strach u drugich. To też wystąpił p. Lukre i oświadczył, że, mając stosunki z rękawicznikami nalewkowskimi, zna lepiej ich warunki, że nie kupują oni tak tanio skórek, ani posługują się najemnikiem bezpłatnym, a jednak zarabiają na kękawiczkach w handlu hurtowym 28%, w drobnym zaś — 40%. Za rękawiczki czteroguzikowe biorą 9 rs., sześcioguzikowe 12, za dłuższe— 16 do 18.

P. Michalski zaś, opierając zarzuty uczynione na poprzedniem posiedzeniu rękawicznictwu, wystawia mu następujące świadectwo: Wyroby nasze przewyższają *absolutnie* niemieckie, stoją zaś na równi

z wiedeńskimi, ustępują tylko francuskim. Względnie do kosztów produkcyi majstrowie zarabiają zaledwie 20% na sprzedaży hurtowej, a 10% na detalicznej. Dla wzmożenia zaś wywozu radzi założyć specyalną fabrykę eksportową. Pożądanem byłoby wiedzieć, jak projektodawca wyobraża sobie urzeczywistnienie tego pomysłu. Zaleca on ni mniej ni więcej drobnemu przemysłowi, rozproszonemu w warsztatach, żeby się stał — *wielkim*. Ale jaką drogą? Majsterkowie powinniby chyba jąć się przedsiębiorstwa akcyjnego. Byłby to może środek najlepszy, bo dałby dwie cenne cechy, zbywające drobnym a licznie działającym wytwórcom, cechy, które przy dzisiejszych warunkach wymiany dają na rynku przewagę wielkiemu kapitałowi: zespolenie rozumów przedsiębiorczych i środków produkcyi pozwoliłyby tę ostatnią uczynić tańszą, a zbyt wytworów zorganizować celowiej i lepiej. Należałoby jednak wpierw porządniej zbadać obecne położenie, bo z tego, co wyświetliły obrady sekcyi rzemieślniczej, wiadomem jest tylko to, że wieża Babel produkcyi znalazła drugą taką wieżę w stoku najsprzeczniejszych wiadomości, tem bezładniejszych, im więcej dostarczyciele ich walczą ze sobą interesownie i obłudnie, niżeli dbają o wykrycie istotnej prawdy. Towarzystwo powinnoby tę statystykę domorosłą, wyraźnie zdradzającą tajemniczość majstrów iście średniowieczną, zastąpić „ankietą," którąby rzecz zbadała głębiej i logiczniej.

Wystawa stała prób i wzorów. Na odbytem w tych dniach posiedzeniu uczestników odczytano sprawozdanie za rok ubiegły. Zarząd wystawy stanowili pp. Bronisław Werner, Stanisław Natanson, Olchowicz, Bolesław Brodzki, (a po jego śmierci w zastępstwie Józef Keppe), Władysław Reineke, Władysław Pfeiffer, Józef Leski i Tadeusz Zaleski, urządzający wystawę, który się zrzekł w r. b. tych obowiązków, a objął je p. Stanisław Piotrowski. W ciągu r. z. wystawa liczyła 260 uczestników. Dochody dały około 3,300 rs., w tej sumie około 3,140 z opłat za wynajem miejsc na wystawie. Zarząd wystawy zwiększył znacznie liczbę korespondentów handlowych w miastach Cesarstwa. Wystawę zwiedziło w ciągu roku 4,500 osób, w tej liczbie 25% kupców, 8% przemysłowców, 17% agentów handlowych itd. Do delegacyi wybrani zostali nadal: pp. Stanisław Natanson, Władysław Pfeiffer, Konrad Olchowicz, Bronisław Michalski; z urzędu zaś wchodzą: pp. Bronisław Werner, Józef Leski i Józef Keppe. Dla rozwoju działalności wystawy na ostatniem posiedzeniu uznano za konieczne: 1) ażeby uczestnicy nadesłali szczegółowe cenniki swoje i wykazy o rodzaju produkcyi; 2) aby przenieść wystawę z Muzeum przemysłu i rolnictwa do innego lokalu w ruchliwszym punkcie miasta. Ponieważ zmiana ta pociągnie za sobą wydatek prawie o 1,800 rs. większy, niż obecnie, postanowiono więc uskutecznić ją w takim tylko razie, jeżeli przynajmniej 60 uczestników zobowiąże się dopłacać w ciągu lat trzech (w razie potrzeby) po 30 rs. rocznie.

Z rynku.

Ceny bieżące. W Odesie (d. 5 stycznia) płacono: za pszenicę ozimą rs. 1,10 — 1,25, za girkę 1,07½—1,23, sandomierkę 1,18—1,24 za pud. Jęczmień 70—84 kop., żyto od rs. 1,20—1,30, owies 79—88 kop., kukurydzę 70—80 kop. Jeszcze i dotychczas roznamiętnia tam umysły spożywców nikczemność firmy zbożowej Ludwika Dreyfussa, która sprzedała ziemstwu samarskiemu aż 400 wagonów pszenicy, 350 kukurydzy, 100 żyta i 200 jęczmienia — ziarna ze znaczną domieszką kąkolu. Osoby winne zamachu na zdrowie i życie ludności i tak już wycieńczonej głodem — osadzono w więzieniu. Firma zaś chciwa łatwych, lecz bezecnych zysków, zobowiązała się dostarczyć nowego transportu zboża, ale już pod kontrolą delegowanych przedstawicieli ziemstwa.

— Z Wilna donoszą (5 stycznia), że większe firmy kupieckie pochowały zapasy zboża, wyczekując „pomyślniejszych warunków," czyli, otwarciej mówiąc — przysięgły się przeciwko spożywcom dalszym, bo dla bliższych, miejscowych, ceny były „znacznie" niższe: pud żyta płacono rs. 1,15—1,20, pszenicy 1,25—1,30. Jęczmień wahał się około 1 rs., owies płacono 65—70 kop., groch rs. 1,05—1,10, grykę 95 kop. do rs. 1,05, konopie 1,30. Na zniżkę cen żyta wpłynęła w znacznym stopniu kukurydza, której dowieziono obficie do gub. wileńskiej. Cena tego ziemiopłodu wynosi 85—90 kop. za pud. To też tym produktem, jako tańszym od żyta — posługują się gorzelnie drożdżowe do wyrabiania drożdży prasowanych, niektóre gorzelnie jęły nawet wypalać spirytus z kukurydzy, a wydatki okazały się pomyślne. Ceny spirytusu w sprzedaży hurtowej zniżyły się również i wynoszą obecnie około 2 kop. za stopień. W cząstkowej zaś sprzedaży wiadro 40° wraz z akcyzą jest płacone od 4,60—4,80. Liczba działających gorzelni w gub. wileńskiej jest nieco mniejsza — chociaż powstało kilka nowych — wszystkich czynnych jest około 95. Ceny kartofli w Wilnie wynoszą około 10 rs. za beczkę. do gorzelni sprzedają ich pud po 25 i 30 kop. Za to nabiał i mięso — poszły w górę: pud masła jest ceniony 13 rs., garniec śmietany 1,20, funt masła śmietankowego 40—50 k., wołowiny — 6 do 10 kop. cielęciny 8—12, wieprzowiny 6—9. Ceny drzewa opałowego są również wysokie — sążeń 16 rs.

W Nowej-Aleksandryi, jak donoszono 7 stycznia, ruch zbożowy ustał był prawie zupełnie i nie było żadnej dostawy: korzec pszenicy ceniono 8 rs., żyta 7, jęczmienia 4,50, gryki 5,70, grochu polnego 8. Wytwory spożywcze miały ceny następujące: garniec kaszy gryczanej k. 36, jęczmiennej 24, jaglanej 40, mąki żytniej 20, pszennej średniej funt 6, kartofli korzec rs. 2,40. Nadto trudno ich dostać, ponieważ nie są dostawiane, miejscowi zaś wytwórcy nie chcą wcale sprzedawać, pozostawiając na zasiew i potrzeby własne — cóż dopiero będzie na przednówku? Na wagę złota będą one sprzedawane. Funt chleba razowego nabyć można za kop. 2½, pytlowego za 4, ale wątpliwej wagi. Funt wołowiny k. 10, cielęciny 7, wieprzowiny 12. Słonina zdrożała w ostatnich czasach i jest zbywaną po 20 k. funt. Sążeń drzewa twardego rs. 9, sosnowego 7.

Na targ częstochowski (5 stycznia) pszenicy nie dowieziono wcale, żyta zaś tylko jeden korzec, za który chłop żądał aż 9 rs. Poziom cen na inne produkty był tam następujący: korzec jęczmienia 6 rs., owsa 3,30, pud mąki pszennej N. 0 2,10, jęczmiennej N. 000—2,40; garniec kaszy (pęczak), jęczmiennej i jaglanej 27 kop. Masło droższe ciągle, płacono 60 do 65 k. za kwartę, jaja po 2½ sztukę lub 1,35 kopę. Snopek słomy 18 k., wiązkę siana 5. Kartofli korzec rs. 3 — najtaniej 2,40. Wołowiny funt 10 kop., chleba pytlowego 5, razowego — 3

W Noworadomsku (7 stycznia) za korzec tatarki płacono rs. 6—6,50, kartofli — 2,55, za kwartę masła 60 kop., kopę jaj rs. 1,20.

Za to w Koninie (8 stycznia) za żyto o 15 kop., za groch polny o 50, za tatarkę o 30 itp. — płacono drożej. Żyta w tamtej okolicy jest już bardzo mało. Kupcy zapewniają, że cena tego ziarna na wiosnę z łatwością dojdzie do 9 rs. korzec, a obecnie trzyma się ono jeszcze na poziomie 7,95. Pszenicę i żyto wciąż wywożą do Kalisza, gdzie ceny są wyższe prawie o 50 kop.

Warszawa, 12 i 13 stycznia. Wytworów roślinnych w magazynach tranzytowych na Pradze zostało 1,034 wagonów, wyszło 22. Ceny zboża wynosiły: żyta do 1,34 za pud, owsa — do 95 k., kaszy jaglanej—do 1,50. W handlu mąką w ostatnim tygodniu nie zaszły żadne zmiany, a popyt był słaby. Wobec silnej podaży, nie może być mowy o „poprawie" cen, chociaż i zniżka ich, przy wysokich cenach pszenicy — jest niemożliwą. To też mąka, mimo trudnej sprzedaży (?), stoi na karkach spożywców „dość mocno" w cenie. Tylko żytnia straciła o 50 kop. na worku 5-pudowym.

Na placu Witkowskiego dostawy pszenicy były znacznie mniejsze w d. 13 niżeli 12 stycznia: wynosiły 600 korcy. Płacono za wyborową 8,70—8.80, za białą 8,50, za pstrą ordynaryjną 8 rs. —8,25. Na targu zbożowym (Praga) za żyto wyborowe płacono za pud 1,32—1,35, za średnie 1,30—1,32, za pospolite 1,27—1,29. Cena nafty w Warszawie cały tydzień pozostawała taż sama (1 rs. 18 kop. za pud). Cena tego towaru z powodu znacznego dowozu obniżyła się była chwilowo w Carycynie.

Gdańsk 12 stycznia. Pszenice krajowe zbywano znowu taniej o 2 do 3 marki, a to dlatego, że niepomyślne depesze zagraniczne działały pognębiająco na rynek tameczny. Towar tranzytowy bez obrotów. Dążność na rynku cukrowym była spokojna.

Rynek pieniężny. W Gdańsku marka uśmiechnęła się rublowi życzliwiej — za 100 rubli dawano 201,50 marek. Natomiast w Berlinie rubel był witany (13 stycznia) z mniejszą uprzejmością, w gotówce za sto wymieniano 198,75 m., na dostawę — 198,25.

KRONIKA.

Dla szwaczek. Ciężka dola szwaczek, jak dowiaduje się *Kur. warsz.*, poruszyła nareszcie serce „jednej z pań," czułej na cierpienia bliźnich. „Nosi się" ona pono teraz z myślą założenia w Warszawie przytułku dla „ograniczonej liczby wiekowych lub osłabionych pracą" biednych inwalidek. Instytucya ta dawać im będzie schronienie z całkowitem utrzymaniem i udzielać ma wsparcia w naturze i pieniądzach według możności. Zrobi też ona tyle dobrego, ile jej natura filantropijna pozwoli, i będzie przedmiotem westchnień tysiąca piersi toczonych gruźlicą, ale w ostoi tej znajdzie ucieczkę, jak zwykle, zapewne tylko garstka cnotliwych, które w ciężkiej walce o byt przypadkiem oparły się brutalnej dłoni lampartów ulicznych, ściągających je zwodniczo w kałuże upadku obyczajowego. Będzie zatem nie tylko chusteczką batystową do obtarcia kilku łez, ale niewątpliwie także premium dla cnoty. Wolelibyśmy raczej posłyszeć o kasie emerytalnej dla szwaczek, byłaby to skuteczniejsza i mniej dybiąca na godność osobistą instytucya..

Zadrzewienie Warszawy. Ważna pod względem zdrowotnym sprawa zadrzewiania miasta ożywiła się w ostatnich czasach. Jak donosi *Kuryer warsz.*, postanowiono zwiększyć dotychczasowe środki, przeznaczone na plantacye istniejące i zakładanie nowych. Z pomocą przychodzi utworzony przez Towarzystwo ogrodnicze komitet plantacyjny o rozleglejszym, niż dotąd zakresie działania. Między innemi mają być założone planty dokoła miasta, głównie od strony zachodnio-południowej, od rogatek belwederskich w kierunku wolskich i powązkowskich. Dotąd Warszawa w stosunku do innych miast posiada najmniej roślinności, pomimo stałego wzrostu budowlanego, coraz bardziej utrudniającego dopływ świeżego powietrza. Jeszcze przed laty dziesięciu pamiętamy sporo ogrodów prywatnych, które padły pod toporem kapitalistów, a na to miejsce powstały kilkopiętrowe kamienice o ciasnych podwórzach.

Perpetuum mobile. Dziwną wędrówkę odbywają drobne wiadomości w naszych pismach codziennych. Spłodzona przez reportera lub przetłomaczona z gazet obcych wiadomostka przechodzi z jednego dziennika na szpalty innych, następnie wędruje do prasy prowincyonalnej, stamtąd wraca znowu do Warszawy i dostaje się do tych samych dzienników, skąd wyszła. Tak pokutuje parę tygodni, kilka miesięcy, a czasem nawet rok cały i zawsze uchodzi za świeżą, a brzmi najczęściej tak: „Dowiadujemy się ze źródła wiarogodnego" itd. Z anegdotami bywa jeszcze gorzej. Wędrują one po całym świecie, przepływają z dzienników amerykańskich do francuskich, angielskich, niemieckich, stamtąd do naszych i tym sposobem okrążają kulę ziemską przez lat dziesiątki zawsze świeże, zawsze z datą bieżącą. Wszelkie bajdy tego rodzaju, które dziś czytamy, czytali nasi ojcowie, czytać będą dzieci, dopóki nie popękają od posuchy czaszki reporterskie, a przez szczeliny w ten sposób utworzone nie dostanie się do ich wnętrza kilka kropli oleju odżywczego. Jako jedną z wielu osobliwości tego rodzaju przytoczymy jedną. Od 30 lat wiadomo, że prof. Hyrtl w Wiedniu posiada czaszkę Mozarta i od 30 lat toczy się spór o jej autentyczność. Do nas przed tygodniem przyszedł *telegram* z Wiednia, donoszący, że Hyrtl... posiada czaszkę Mozarta.

Sprawy społeczne. W okolicy Łochowa (stacya kolei Petersburskiej) jeden z przedsiębiorców buduje sześć domków z ogródkami na letnie mieszkania, w cenie po 2,500 za każdą. Kto złoży 500 rs. zadatku obejmie od razu willę w posiadanie i może resztę należności wypłacać ratami po 250 rs. rocznie. Zdaje się, iż przedsiębiorca więcej liczy na niekaratność przyszłych wła-

ścicieli, niż na zwyczajny zarobek ze sprzedaży. Przypuszczenie to nasuwa następujący warunek umowy: *Za niewypłacenie w terminie raty zadatek przepada.* Nie narzekajmy na brak „ducha przedsiębierczości“!

— Zamiast taksy za roboty z receptury ogłoszono taksę robót *(taxa laborum)*, która ma być wprowadzona obowiązkowo przy wydawaniu lekarstw w Petersburgu i Moskwie od 1 stycznia (st. st.) w Petersburgu i Moskwie, od 1 lipca w miastach gubernialnych i okręgowych, od 1 stycznia r. 1893 w innych miejscowościach Rosyi europejskiej, wreszcie od 1 lipca r. 1893 w Syberyi i kraju Zakaspijskim.

— Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń na wypadek śmierci lub kalectwa, którego ustawę zatwierdzono w r. z. rozpocznie działalność w drugiej połowie r. b. Dla wyjednania szybkiego zatwierdzenia warunków polisy udaje się do Petersburga specyalny urzędnik nowej instytucyi.

— Spółka obywateli w okolicach Lublina zakłada w osadzie Łaszczów sklep spożywczy. Głównym powodem tego kroku jest wyzysk przekupniów żydowskich, którzy pobierają wysokie ceny za towar bardzo lichy. Koszty założenia sklepu obliczono na 1,200 rs.

Konkursy. Sędziowie konkursu ogłoszonego przez Towarzystwo sztuk pięknych w Warszawie, przyznali 10 b. m. następujące nagrody: 1 szą rs. 600 Zdzisławowi Jasińskiemu „Nabożeństwo świąteczne,“ 2-gą rs. 300 Władysławowi Podkowińskiemu za „Portret damy,“ 3-cią rs. 200 do podziału: Apoloniuszowi Kędzierskiemu za obraz p. t. „Astronom wiejski“ i Pawłowi Rosenowi za „Kury.“ Listy pochwalne: Zofii Stankiewiczównie za obraz „Przed żniwem.“ Stefanowi Popowskiemu za obraz „Świt“ i Wacławowi Pawliszakowi za obraz „U wrót meczetu.“ Wystawę obrazów konkursowych otwarto dla publiczności.

— Warszawskie Towarzystwo lekarskie ogłosiło następujące tematy do nagród konkursowych z zapisu d-ra W. Kaczorowskiego: 1) Zbadanie chemiczne produktów trujących jednego z grzybków chorobotwórczych. 2) Zbadanie zmian anatomicznych w ścianach dróg oddechowych przy nieżytach chronicznych. 3) Zbadanie sposobów mnożenia się komórek w nowotworach patologicznych. 4) Wykazanie na zasadzie własnych badań pochodzenia różnic morfologicznych i roli fizyologicznej ciałek białych. Termin składania prac 31 marca. Najlepsza praca z któregokolwiek tematu otrzyma 300 rs. nagrody.

Szkoły. W szkole niedzielno-rzemieślniczej w stosunku do roku ubiegłego zmniejszyła się znacznie liczba uczniów. Obecnie uczęszcza do niej o 67 mniej niż dawniej (65%). Objaw ten zwrócił uwagę p. naczelnika dyrekcyi naukowej, który zwrócił się do prezydenta miasta z prośbą o wydanie rozporządzenia, zobowiązującego majstrów, iżby dawali baczenie, czy ich terminatorzy uczęszczają do szkoły, oraz żeby wyzwalali na czeladników tylko tych, którzy otrzymali świadectwa szkolne.

— W Brześciu litewskim ma być otwarte w r. b. gimnazyum klasyczne.

— Uniwersytet dorpacki liczył w r. ubiegłym 1635 studentów, w r. zaś 1890 — 2,750.

— W szkołach galicyjskich ludowych zaprowadzono na próbę pismo pionowe.

Sprawy kolejowe. Prezesowi kolei Fabryczno-Łódzkiej, p. Blochowi, pozwolono przystąpić na wiosnę r. b. do budowy kilku rozgałęzień powyższej linii, Łódź-Zgierz, Łódź-Pabianice i kilku linij łączących Łódź z fabrykami zamiejskiemi.

— W roku 1894 rozpocznie się budowa kolei łączącej bezpośrednio Kijów z Petersburgiem.

— Ogłoszono rozkaz o wykupie na rzecz skarbu z d. 13 stycznia kolei Orłowsko-Gr azkiej i o wyjednanie w razie potrzeby kredytu na przyjęcie linii i jej eksploatacyę.

— Komitet taryfowy zatwierdził taryfy, na mocy których koszt przewozu zagranicznego zostaje powiększony. W komunikacyach miejscowych Królestwa zmian nie będzie. Koszt przewozu z prowincyj południowych na Kaukaz jest mniejszy, niż z Królestwa.

— Wszystkie kobiety służące na kolei Libawsko-Romeńskiej, z wyjątkiem telegrafistek, będą usunięte. Dotychczas wydalono już około 60 ciu.

— W kwietniu zaprowadzona będzie stała pospieszna komunikacya pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem.

— Według opracowanego w ostatnich czasach projektu, urzędnicy i oficyaliści na kolejach upaństwowionych podzieleni będą na klasy w stosunku do wykonywanych obowiązków i wysokości pensyi. Określono przytem ściśle uzdolnienia naukowe i specyalności. Odpowiednio do tego dawane będą posady. Wprowadzone będzie uogólnienie obowiązków urzędników kolei skarbowych, którzy na jednakowych prawach powinni spełniać powierzone im czynności na wszystkich bez różnicy liniach skarbowych, przenoszeni z miejsca na miejsce, w miarę awansu lub potrzeby z rozkazu ministeryum komunikacyi. W tym celu wynagrodzenia, przywileje i klasyfikacya obowiązków wszędzie ma być jednakowa, a kasa emerytalna dla wszystkich — wspólna. Odpowiedzialność urzędników kolei skarbowych będzie zrównaną z odpowiedzialnością wszystkich innych urzędników rządowych. W umundurowaniu będą także pewne oznaki dla odróżnienia od urzędników kolei prywatnych. W Królestwie Polskiem prawa służby skarbowej pozyskają urzędnicy kolei Petersburskiej i przyszłej Nadnarwiańskiej.

— Główny inżenier kolei Nadwiślańskiej delegował urzędnika w celu sprawdzenia tudzież ścisłego zastosowania przepisanej normy mieszkań, zajmowanych na linii przez urzędników i oficyalistów. Pracownicy, pobierający pensyę roczną do 300 rs., mają zajmować jeden pokój, służący razem za kuchnię, pobierający 300—500 mają prawo do jednego pokoju i oddzielnej kuchni; od 500—750 rs.—do dwóch pokojów z kuchnią.

Przemysł i handel. Od 13 stycznia do 27 grudnia z Gdańska wywieziono cukru, pochodzącego z Rosyi do innych krajów: (Anglii, Holandyi, Danii, Szwecyi itd.) 192,680 centnarów w roku 1890 — 19,850 centnarów.

Słynna fabryka likieru benedyktyńskiego spłonęła. Smutek z tej klęski sięgnie i do naszych serc, zwłaszcza jeżeli „benedyktynka“ zdrożeje.

Wystawy. Zapowiedzianą na luty r. b. przez Muzeum przemysłu i rolnictwa wystawę nasion odłożono do roku przyszłego, z powodu iż nadesłano zaledwie 7 deklaracyj. Przyczyną tego jest nieurodzaj zeszłoroczny.

— W tych dniach otwarta będzie w Petersburgu wystawa elektryczna.

Zjazdy. Wkrótce będzie zwołany zjazd fabrykantów wina, w celu obmyślenia środków kredytu łatwego.

— W Wilnie r. 1893 odbędzie się zjazd archeologiczny.

Zmarli. Wincenty Niewiadomski, literat i popularyzator nauk przyrodniczych, w Ostrowiu (Łomżyńskie). Ważniejsze przekłady: „Życie i obyczaje zwierząt“ Brehma, „Ziemia i morze“ L. Figuiera, „Człowiek i zwierzę“ A. Mangina, „Machina zwierzęca“ Marega. Oryginalna praca: „Obrazy z życia flory.“

— Dr. Tytus Ulrich, poeta, dramaturg i krytyk w Berlinie.

— Jul. Rosen, komedyopisarz, w Wiedniu.

— Karol Neuman w Kopenhadze, malarz duński.

— Jan Quatrefages, słynny przyrodnik i przeciwnik Darwina; dwa jego dzieła przełożone zostały na język polski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu G. D. Bez wartości.

Skowronkowi. Gdybyśmy chcieli dokonać tych zmian, pozostałoby zaledwie kilka początkowych wierszy.

Panu I. Gromiczowi. Ani myśl, ani forma nie wychodzą po za granice powszedniości.

Panu Olzarowi. Pomysłu pisania wierszy gwarą ludową nie uważamy za szczęśliwy. Gwara ta bowiem jest przeważnie skażonym językiem.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 3 Января 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski